

WIAS

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok V

Łódź, 18 stycznia 1948 r.

Nr 3 (132)

Wiesław Jażdżyński

O ZWIĄZKU WALKI MŁODYCH

W dniach 6-8 grudnia 1947 roku odbył się w Warszawie ogólnopolski Zjazd Młodego Związku Walki Młodych.

Obecni, jeżeli pamiętali przedwojenne zjazdy młodzieży lewicowej, zwrócili zapewne uwagę na fakt, że mówcy z poszczególnych organizacji — ZWM, ZNMS, „Wici”, OM TUR czy ZMD — formułowali ostro i wyraźnie postulaty ideologiczne reprezentowanych przez siebie ruchów młodzieżowych, zapowiadając wspólny udział w rozbudowie i utrwaleniu ustroju „ojczyzny chłopów i robotników”.

Trzeba nam będzie odpowiedzieć na dwa pytania, jakie narzucały się obecnym na Zjeździe: po pierwsze — od jak dawna rzeczywistość społeczna wskazywała, że dalszy postęp w rozwiązaniu problemów społeczno-narodowych takiej właśnie wymagał ideologii?

pitalizmu, znajdujemy także w „Prawdzie”, wydawanej przez Aleksandra Świętochowskiego: (Nr 1, 1898 r.) „...począwszy od zamożnych kolonistów i kupców, którzy zbierają bandy zbójckie, a skończywszy na bogatych lichwiarzach, bankierach i przemysłowcach ciągnie się łańcuch młodej lub więcej godnych uśłowiań zdobycia pieniędzy... przemysłowiec zagrożony zastojem, wyciska z pracy możliwe korzyści”.

Obraz pogłębiających się przepaści społecznych, nadmiernego wzrostu bogactw jednostek, kosztem proletaryzowania robotników i drobno — rolnych chłopów, przenikał do nielicznych stosunkowo szkół średnich Królestwa i Galicji budząc pośród wrażliwej na nędzę ludzką młodzieży, chęć do szukania rozwiązań dla narastających problemów klasowych. Jedno z rozwiązań podawał ówczesny system wychowawczy.

W popularnym na terenie Królestwa i Galicji podręczniku szkolnym prof. Michała Bobrzyńskiego („Dzieje Polski w zarysie”) czytamy: „Musimy poznać we wszystkich szczegółach objawy i następstwa zabijającej równości, ażeby w dzisiejszej pracy społecznej, uszanować jednostki, przodujące siłą swojej tradycji, talentu, wykształcenia, zasług, ażeby zdrową hierarchię wyrobić i utrzymać, ażeby jedni umieli prowadzić, a drudzy ich popierać i słuchać”.

Przytoczony fragment „starej wiary” w przyrodzony hierarchiczny porządek społeczny świata, nie wyczerpywał już niepokojów młodzieży.

Jakkolwiek „tutka szkolna była otwarta dla pisarzy o marce najwyższej liberalnej, jaką wyróżniał się Turgeniew” (L. Krzywicki — „Wspomnienia”), a w bibliotekach szkolnych można było dostać tylko Verne’a, Mayne Reida, czy F. Coopera, czasem Byrona i Szekspira, to jednak w literackich portretach bohaterów gimnazjów końca XIX wieku spotkać już można zaczątki „nowej wiary”.

Wszędzie tam, gdzie młodzież zdobywała książki spoza biblioteki szkolnej, wytworzyła się podniecona atmosfera zakonspirowanych dyskusji. W Kłerykowie czytano „Historię cywilizacji w Anglii” — Tomasza Buckle’a, książkę, która „zrodziła całą szkołę filozoficzno-materialistyczną”. Tłumacze Buckle’a i zwolennicy postępu wyjaśniali sobie podstawowe pojęcia ekonomiczne: wartość, rentę, czynsz, zysk, a „na stacji u tzw. „Czarnej Pani...”, nieraz do późna w nocy wrzasy zaczęły spory z metafizykami, z idealistami i pomidorowcami, czyli grupą wierną katolicyzmowi... Borowicz był poniekąd specjalistą od ateizmu. Raptowne zdruzgotanie ustalonych wierzeń wprowadziło ośmastoletniego szóstoklasistę do całkowitego nowego świata. „Nauka” stała ziarno zuchwałego szturm do niebios”.

Podobno do Borowiczowego przełomu przyszedł i bohater „Nieba w płomieniach” — Teofil Grodzicki, który nieco później napisał poraz pierwszy „słowo bóg z małej litery”. Syn radcy cesarskiego postawił na akademii uczniowskiej dramatyczne pytanie: „Wychowanie w ponurym bałwochwalstwie, nauczani kłekać i odkrywać głowę przed symbolami, które są obce naszej ziemi — kiedyż wreszcie ustanowimy religię według naszego serca i uderzymy ciosem przed świętością, której już ani nam rozum nie odbierze, ani uczucie nasze jej nie powstrzyma”.

Nowa wiara Teofila nie inne miała źródła niż Marcina Borowicza, „Substancja, energia, przyczynowość, ewolucja, atom — takie teraz były imiona bóstw zawartych w cząsteczkach czasu lub w cząsteczkach przestrzeni”.

Nauka XIX wieku, podbarzona autorytetem Comte’a i Spencera!

Postacie Borowicza i Grodzickiego ożywia znakomicie pamiętnik Ludwika Krzywickiego. Autor „Wspomnień” pisze w jaki sposób zupełnie poza szkołą, czytając Comte’a i czasopisma warszawskich pozytywistów doszedł do własnego światopoglądu.

„Nocami — pisze Krzywicki — i podczas samotnych przechadzek dorabiałem się własnego poglądu na świat, własnej filozofii, własnego programu społecznego. W klasie siódmej wydawałem „Pracę” — w jednym egzemplarzu pisaną, sprostowałem „Filozofię pozytywną” Comte’a i zacząłem tłomaczyć tom pierwszy. A jak Comte przywłaszczył sobie poglądy Saint-Simona, ażeby je sfilistryżać tak samo przy pomocy pozytywizmu naszych postępowych organiczników, idealizujących jednakowo pracę przedsiębiorcy i robotnika, odtwarzałem — podczas wczasów, które po-

zostawały od tańców i łyżew — założenia saint-simonizmu, jako ówczesne moje wyznanie wiary, a właściwie dorabiałem się do nich nieświadom ich istnienia”.

Tak więc, dochodząc samotnie do zdobyci „nauki pozytywnej” XIX wieku wyobrażała sobie młodzież, że jakiś nieokreślony, ukształtowany poza historią, przyrodzony i wieczny czynnik ewolucji popycha świat ku lepszemu i zafatwi automatycznie problem nędzy i zła. Naród złożony z fabrykantów, robotników i chłopów może przyspieszyć tę ewolucję, jeżeli zgodnie i w harmonii zabierze się do „pracy od podstaw”. Wtedy, daleko szybciej nadejdzie czas, kiedy na ulicach Warszawy nie będzie już mdlać codziennie jeden człowiek z głodu. (Przegląd Tyg. Nr 3, 1905).

Otrzymaliśmy obraz młodzieży, która znając dobrze literaturę polską, nieraz i obcą, posiadając niekiedy wiedzę filozoficzną, przejęta hasłami ewolucjonistów i „organiczników”, głosiła materializm w ramach kapitalistycznego systemu społeczno — gospodarczego. Pomyłkę wyjaśnią pierwsze lata przełomu XIX na XX wiek.

2. „STUDENCKA MGŁAWICA”

Kiedy w roku 1878 wstępuje Ludwik Krzywicki na Uniwersytet Warszawski, zastaje tam atmosferę, w której wysuwano już niekiedy potrzeby zmiany ustroju kapitalistycznego na jakiś inny. Echa walk, jakie prowadziła „Narodna Wola”, rewolucyjna organizacja rosyjska „wtargnęły przez Wilno i Ki-” do Warszawy i przyswajały charakter jak gwałtowna epidemia umysłowej” (Krzywicki).

Charakteryzując tę „epidemię umysłową” pisze L. Krzywicki: „Był to ferment, który w różnych kierunkach zaczął oddziaływać na życie młodzieży uniwersyteckiej, podważając powoli ideologię pracy organicznej. Właściwie nie było żadnego jednolitego planu działania, ani jednolitej ideologii. Tworzyła się jakaś mgławica, która z każdym rokiem rozrastała się, ale bynajmniej nie ujednolicała. Byli tam ludowcy znaku włościańskiego, na których pokost socjalistyczny trzymał się, by w przyszłości odpaść: Bolesław Hirsztfeld, Mieczysław Brzeziński; byli nihilści typu rosyjskiego..., byli patrioci dla których socjalizm miał być środkiem ku obronie narodowości... byli w końcu międzynarodowcy, którzy nie chcieli słyszeć o sprawie narodowościowej... A przede wszystkim była wielka moc kolegów dobrych do wypitki i do wybitki, którzy tworzyli rdzeń młodzieży radykalnej, hołdowni poglądom opozycyjnym dlatego, że te dawały ujście ich energii czynu, pozwalały przy okazji wyklócić się, a nawet poawanturować się. I w umysłach te różne nastroje wiązały się niekiedy w niedorzeczna jednie, ludowiec współpracował z socjalistą, a patriota kumał się z międzynarodowcem. W każdym razie różne nastroje kłębiły się i przelewały wśród młodzieży, niby mgły poranne nad łąkami”.

Podczas gdy na Uniwersytecie Warszawskim przyjaźnili się w niezwiązanej z czasem i przestrzenią mgławicy pojęć — Roman Dmowski, niezadługo zdecydowany wróg socjalizmu, z „socjalistą” Stefanem Żeromskim „sympatykiem każdej idei, która sama w sobie jest czysta i wzniosta” (Piotru Noyesowski — „Stefan Żeromski”) jakże tragicznie przedstawiała się rzeczywistość społeczna Królestwa, wynikająca z dalszego rozwoju kapitalizmu.

W liczącym na przełomie XIX wieku ponad 11 mil. ludności Królestwie zaledwie 61 tys. osób i instytucji osiągało ponad 1000 rubli rocznego zarobku. 125 kapitalistów zarabiała ponad 50 tys. rubli rocznie, a ponad 350-ciu — 20 tys. rubli. Na każdych 100 mieszkańców Królestwa, żyjących z własnej pracy — 40% stanowili robotnicy, których olbrzymia, bo sięgająca 35% część stanowiły znacznie gorzej płatne kobiety. Płaca robotników w Królestwie wynosiła przeciętnie 1-1,5 rubla dziennie i była średnio o 24 proc. mniejsza niż górników i hutników na sąsiednim Śląsku. Urzędowa statystyka z roku 1904 wykazała 6221 wypadków przy pracy, zakończonych kalectwem lub śmiercią robotnika, a liczba ubezpieczonych od wypadków robotników przez kapitalistyczne przedsiębiorstwa wynosiła zaledwie 11 proc. (30.938 na 283.683 pracujących robotników i robotnic) — podaje J. Grabiec („Współczesna Polska w cyfrach i faktach”).

Nie lepiej wyglądała sytuacja w rolnictwie. Na blisko 5 milionów ludności rolniczej Królestwa, zaledwie 146 bogaczy miało więcej niż

20 tys. rubli rocznego dochodu, a liczba osiagających 1000 rubli w tym samym czasie zbliżała się do 10 tys. osób. Bezrolny proletariatusz znajdował po „organicznikach” — obóz narodowego nabożeństwa nadal idealizujący jednakowo pracę przedsiębiorcy i robotnika?

Jakie środki zaradcze, na pogłębiającą się nędzę robotniczo-chłopskiego proletariatusz znajdował po „organicznikach” — obóz narodowego nabożeństwa nadal idealizujący jednakowo pracę przedsiębiorcy i robotnika?

Poprawę bytu przez oświatę dla ludu? Chyba nie, bo mimo takiej działalności w stylu Joanny Lipskiej stan oświaty w Królestwie był opłakany. Na przeszło 11 mil. mieszkańców zaledwie 485 tys. dzieci i młodzieży uczęszczało do wszystkich zakładach naukowych Królestwa (rok 1903). W tym też wła-



Ludwik Krzywicki w 1885 r.

śnie roku przypadała jedna szkoła ludowa na 28,3 wiorst kw., jedna na 2,573 mieszkańców i na 433 dzieci w wieku szkolnym (J. Grabiec).

Filantropia?

Owszem, i to jaka! W prasie warszawskiej — podaje „Przegląd Tygodniowy” (nr 3, 1905) można było czytać i takie ogłoszenia: „Bezpłatnie śpiewu wlośską szkołą osobom (kobietom) niezamożnym udzielam”.

Ten sam „Przegląd Tygodniowy” (nr 12, 1905) podaje oświadczenia dra St. Kurtza, przewodniczącego Warszawskiego Tow. Dobroczynności i Czasowego Komitetu Ratunkowego dla Głodnych, w którym przez stwierdza, że na przeszło 4000 podań głodnych może rozpatrzyć pozytywnie i tylko w części — jedynie 470. „W czynności tej — mówił dr Kurtz — pomagają nam członkowie Towarzystwa Wioślarskiego”. I kończy: „...obecnie mam nadzieję, że akcja ratunkowa pójdzie w szybszym tempie... ponieważ siostry miłosierdzia św. Wincentego, a Paulo wzięły do sprawdzenia 300 podań...”

Tak więc, przy pomocy filantropii, nieodłącznego curiosum kapitalizmu, odpowiedziano pozytywnie na kilkaset podań o chleb, jakie miały pełne prawo złożyć miliony nędzarzy.

Zapytajmy skolei na jakiej drodze widział proletariatusz wydobycie się z dna nędzy?

„My organizowaliśmy klasę robotniczą do walki z ustrojem kapitalistycznym — mówił Ludwik Waryński w czasie procesu sądowego „Proletariatusz” — My nie stoimy ponad historią. My ulegamy jej prawom. Na przewrót, do którego dążymy patrzymy jak na rezultat rozwoju historycznego i społecznych warunków. Przewidujemy go i staramy się, ażeby nie zastał nas nieprzygotowanymi”.

Jasno i wyraźnie sformułowane przez grupę „Proletariatusz” hasła, dalekie przecież od „idealizowania jednakowo pracy przedsiębiorców i robotników” stwierdzały konieczność rewolucji społecznej na gruncie bezwzględnej walki z kapitalizmem, spodziewając się w ten (c. d. na str. 3-ej)



Ludwik Waryński

Po drugie — trzeba będzie odpowiedzieć, nie na pytanie: dlaczego od tak dopiero niedawna powstał Związek Walki Młodych i nie dlatego tak nagle inne organizacje młodzieżowe — „Wici”, ZNMS, czy ZMD okazują się ideowo mu bliższe, ale właśnie dlaczego tak późno doczekaliśmy się tego szerokiego nurtu młodzieży zorganizowanej dla „ojczyzny chłopów i robotników”?

1. „SZTURM DO NIEBA”

W ostatnich trzech dziesięcioleciach lat XIX wieku obserwować można na terenie Królestwa szczególnie szybki wzrost kapitalizmu i jego konsekwencji społecznych.

Kiedy jeszcze w roku 1877 przemysł Królestwa Polskiego zatrudniał tylko 90.767 robotników a wartość produkcji osiągała zaledwie 103.404 tys. rubli rocznie (W. Kuja „Historia Gospodarcza Polski 1864-1918”) to w roku 1903 — 13.209 fabryk zatrudniających już 252.126 robotników, osiągnęło produkcję roczną wartości 424 mil. rubli. Wiek- sze zakłady fabryczne (zatrudniające ponad 50 robotników) stanowiły wprawdzie 30,5 proc. ilości ogólnej, skupiały jednak 89 proc. wartości rocznej produkcji, a ilość pracujących tam robotników wynosiła 87% liczby ogólnej.

Proletariat wiejski wzrastał w tym czasie znacznie szybciej. Jeżeli przyjąć za Wł. Grab- skim („Materiały w sprawie włościańskiej”), że ilość bezrolnych wynosiła w roku 1864 — 220.000, to ogłoszona urzędowo w roku 1891 liczba bezrolnych wynosiła już 849.000. Wzrost proletariatusz wiejskiego osiągnął zatem 550 proc., podczas gdy w tym samym czasie ogólna liczba mieszkańców Królestwa powiększyła się tylko o 175 proc.

W organie pozytywistów warszawskich — „Przeglądzie Tygodniowym” (Nr 1, 1887) można przeczytać następującą ocenę społecz- nych konsekwencji wzrastającego kapitali- zmu: „Mamy różne piękne choroby społecz- ne. Analfabetyzm, nędzę bezrolnych i ro- botników, wyzysk niezmierny pracujących dziewcząt, brak pomocy lekarskiej po wsiach, przerażająca śmiertelność wśród dzieci... Głód, nędza i choroby..., zbrodnice, pijactwo, niechlujstwo, prostytucja, najzupełniej euro- pejska...”

Ponury obraz rzeczywistości społecznej ka-

Jerzy Pomianowski

EFFENDI KAPIJEW

Książka Effendi Kapijewa ma się już wkrótce ukazać nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik” w ramach planu wydawniczego Klubu Literackiego „Odrodzenie”. Aczkolwiek nie się jeszcze nie wie u nas o Kapijewie i chociaż książka jego nie była wymieniona ani przez Kotta, ani przez żadnego innego konstruktora projektów najbliższych publikacji, ukazanie się „Poety” w tłumaczeniu polskim nie wydaje się przedwczesne. Nie dość na tym, że Kapijew jest na pewno jednym z najtęższych stylistów rosyjskich ostatnich dziesięcioleci, nie dość, że książka jego ma, prócz literackich nieprzeciętne walory społeczne, nie dość, że bohaterem jej jest — zdawałoby się — zaskakujący i niepiśmienny poeta maleńkiego szczytu góralskiego, przetrzebionego w ciągu wieków do tego stopnia, że w przeddzień rewolucji skazany był na wymarcie. Losy twórcy tej książki i historia jego twórczości, szczególnie jest pouczająca dla literatów europejskich, dla pisarzy ludowych w pierwszym rzędzie. Trudno o wymowniejszy przykład szczęśliwej zależności i twórcy i materiału literackiego od rewolucji społecznej. Kapijew jest z pochodzenia lakiem. Sulejman Stalski, który stał się prototypem bohatera jego opowieści — lezginem. W Dagestanie, ich wspólnej ojczyźnie, górzystym i nieurodzajnym kraiku, leżącym nad północno-zachodnim kątem morza Kaspijskiego, zamieszkuje niemięcej niż czterdzieści takich plemion. Niegdyś łączyła je tylko religia mahometańska i wspólna beznadziejna walka z imperializmem carskim i wyzyskiem miejscowych kacyków. Jeszcze niedawno żadne z tych plemion nie miało własnego piśmiennictwa. To tu właśnie posiadanie kilkunastu baranów dawało prawo do tytułu książęcego. Zresztą nie mnóstwo przykładów. To była nietylko autentyczna Azja; to była jej prowincja. Dawno minęły te czasy, gdy Dagestan był kluczową twierdzą na drodze z Anatolii, Mezopotamii, Kurtystanu, Indyj i Iranu do Rosji, do Europy. Najazdy Dżingisa i jego marszałków — Dżebe-Nojona i Subudaja zburzyły nie tylko forty i miasta pobudowane przez carów gruzińskich i Harun al Raszyda (który był nie tylko bo-

haterem arabskich, awantur, ale i jednym z najszcześniejszych kolonizatorów Bliskiego Wschodu); te i następne najazdy wstrzymały tu na długie wieki rozwój kultury materialnej. Dagestan słynął co najwyżej z pięknych koni, niezłych szabli, taniego robotnika dla pobliskiego Baku. Stał się rezerwatem tej szablonowej egzotyki, którą po dziś dzień zalatuje wszystko, co się z Kaukazem w pojęciu przeciętnego Europejczyka kojarzy. Prawda, był jeszcze ojczyzną Szamila i całego niemal kaukaskiego ruchu oporu, który tyle krwi napsuł wszystkim „białym generalom” Imperatora Wszechrosji w minionym wieku. Nie ulega wątpliwości, że gdyby nie Rewolucja Październikowa, która stała się tu nietylko radykalnym przewrotem społecznym ale i narodowym, sytuacja polityczna i kulturalna ludów Dagestanu mało by się różniła od położenia Żulusów, czy mieszkańców wysp Malajskich, którzy po dzień dzisiejszy korzystają z różnorakich dobrodziejstw opieki Anglików bądź Holendrów z tej właśnie racji, że zacołanie kulturalne „nie pozwala jeszcze” na przyznanie im samodzielności politycznej.

W Rosji Radzieckiej utwory lezgina Sulejmana Stalskiego przetłumaczono na wszystkie bodaj języki tego dwustumilionowego państwa. To samo stało się z wierszami Gamzaty Cadassy i awara Mahmuda. Poeci ludowi Dagestanu są członkami Związku Zawodowego Literatów, co zresztą dotyczy w tym samym stopniu pisarzy tadżyckich, czy jakuckich. Formuła Stalina o kulturze radzieckiej — narodowej z formy, a socjalistycznej z treści rozumiana jest i stosowana w ZSRR jak najkonkretniej. Nikt nie tworzy getta dla ludów, literatur i ich przedstawicieli, będących dotychczas outsiderami kultury, z drugiej zaś strony — nikt nie rezygnuje z tych wartości kultury ludowej, które są głębią żywiącą dla kultury ogólnoludzkiej.

Nie trzeba podkreślać jak wielką rolę grają w Związku Radzieckim tłumacze poezji i prozy, bez których nie sposób by uostępnić arcydzieł literatur narodowych czytelnikom, znającym tylko swój język ojczysty. Sulejman Stalski miał szczęście

— wiersze jego tłumaczył Effendi Kapijew. Już to by wystarczyło, by zapewnić temu ostatniemu sławę zasłużoną. Ten „przybrany syn mowy rosyjskiej” był jednak na pewno znakomitszym jeszcze pisarzem niż tłumaczem. Pięć „był”. Nie jest niestety, bo śniadoliczy ten azjata zginął w 1942 roku broniąc, jako oficer Armii Czerwonej Kaukazu przed najazdem „przedstawicieli” cywilizacji europejskiej. Zdażył przed tym wydać „Poetę” i zbiór pieśni poetów ludowych dagestańskich pt. „Ryte w kamieniu”. Niewiele. Znaczenie jednak tych rzeczy jest o wiele większe niż ich walor artystyczny: to zjawiska nieprzypadkowe, ale w rzeczywistości radzieckiej raczej naturalne, tyle tylko, że wcześniej — od innych. O „Poecie” trudno powiedzieć cokolwiek dopóty, dopóki czytelnicy polscy pojęcia nie mają nie tylko o autorze, ale i o — nader w Związku Radzieckim rozpowszechnionej — twórczości tego typu. Kazuistyczny emancypacji kultury ludowej i zasilania przez nią nurtu ogólnego, będąca u nas jeszcze przedmiotem dyskusji, jest w ZSRR realnym elementem ogólnopartijnego planu kulturalnego. Cóż tu zresztą mówić o znajomości twórczości literackiej Wschodu Radzieckiego, jeżeli nie tylko przeciętni czytelnicy polscy ale i niektórzy przedstawiciele literatury, ba krytyki! jeśli już piszą o literaturze nie lezginijskiej, czy uzbekiej, ale rosyjskiej to czynią to z taką nonszalancją, jakiej właściwie od ignorancji odróżnić nie sposób. Tak np. bardzo przeze mnie ceniony, skądinąd oczytany, jak sądzę, nawet inteligentny poeta i krytyk teatralny, w recenzji, zamieszczonej nie dawno na łamach „Odrodzenia” pisząc z rewerencją o widzianej przez siebie w Pradze Czeskiej komedii „Śmierć Tarełkina” dwukrotnie wymienia jako jej autora słynnego satyryka rosyjskiego Saltykowa — Szczedrina. Nie chodzi już o to, że autorem tej znakomitej, acz cokolwiek makabrycznej groteski jest niejaki Suchowo-Kobylin. Tego mógłby recenzent nie zapamiętać; mało kto słyszał u nas o tym wspaniałym komediografie. Jednakże trzeba, jak sądzę, wiedzieć co napisał Saltykow — i już na pewno — czego nie napisał ten najświetniejszy satyryk rosyjski drugiej połowy XIX wieku, Swift

i Wolter rosyjski Romanowów, ulubiony pisarz Lenina. Nawiasem dodam, że i Suchowo-Kobylinem warto by się u nas poważnie zainteresować. Na przynętę dla arystów naszej rosyjskiej informuje, że światnemu temu pisarzowi zdarzyło się w swoim czasie zarażać kuchennym nożem swoją przyjaciółkę Francuzkę, przyczem, perypetie związane z wykupywaniem się od procesu sądowego natchnęły Kobylina do napisania trylogii dramatycznej, której „Śmierć Tarełkina” jest jedną z części. Caeterum censeo — sprawa popularyzacji kultury radzieckiej w Polsce musi ulec zasadniczej zmianie. Wiemy wciąż jeszcze mało, niedokładnie i opacznie, o najważniejszych procesach i wydarzeniach mamy pojęcie niejasne, a często fałszywe. To naprawdę jeden z najważniejszych punktów naszego programu kulturalnego. Ba, i politycznego. Podobno najpiękniejszym kształtem przyjaźni jest poezja. Potraktujmy sprawę szerzej — i poezja i jej znajomość. To samo dotyczy dramatu, prozy, nauki ścisłej, folkloru itd. Nie może być mowy o rzetelnej przyjaźni bez dokładnej znajomości dorobku kulturalnego. Nie dobrze, jeśli się okaże, że Kisiel ma rację. Kultura ludów Związku Radzieckiego na pewno zasłużyła na to, by ją Polsce udostępnić nie „kazionni” fabrykanci makulatury. Entuzjastów nie powinno zabraknąć.

Tych kilka słów w żadnym wypadku nie może zastąpić prac o Kapijewie, o społecznej treści jego odkrywczej książki o Stalskim, o tradycjach Homera w Azji i Europie, o poezji ludów radzieckich, o polityce kulturalnej państwa socjalistycznego, o emancypacji narodowej Wschodu Radzieckiego, o koneksjach kulturalnych Europy i Azji, o wspólnej kulturze narodów radzieckich i o przekreślającej getta kulturalne wspólnoty wólnych ludów; o wszystkich tych sprawach trzeba jak najprędzej napisać. Oczywiście, trzeba przedtem mieć jakieś takie pojęcie o temacie. Więcej kontaktów bezpośrednich, studiów wzajemnych, książek i czasopism. Tymczasem — czytacie „Poetę”, który jeśli co ze swoich piękności straci, to chyba tylko z winy tłumacza.

CÓŻ TO za tłum niebyszały tłoczy się na zboczach pagórka od stóp jego do szczytu? Ludzie stoją i siedzą, pokrywając zbocze, jak w ogromnym amfiteatrze, twarze mają zwrócone w stronę uskoku, nad którym stoi smagły młodzieniec słusznej budowy. Przemawia. Czoło jego lśni od potu. Obok, nad skrajem uskoku stoi kilku aksakłów — siwobrodych, szanowanych ogólnie starców. Woń podłunowego żaru zastygła nad górami.

To nadzwyczajny wiec czterech osad okolicznych, niegdyś wadzących się stale między sobą. Wiec zwołany był z powodu posuchy. Już od 4-tych tygodni nie ma deszczu. Schną zasiewy a przede wszystkim schną pola gminne, zasiane w tym roku poraz pierwszy na gruntach bezwodnej doliny. Wiec w toku.

— Surchaj nie ma racji! — krzyczy młodzieniec potrząsając dłońmi (stoi nad uskokiem jak na trybunie i ma przed sobą zbocze gęsto obsiane ludźmi). Słuchajcie, towarzysze! Wyjdźcie mamy i możemy się nie bać posuchy, jeżeli zrobimy, co należy. Raz i na zawsze trzeba skierować bieg rzeki Zródlanej z tej góry w stronę bezwodnej doliny. Zastanówcie się sami.

— Jakto? — przez parów? — przerywają mu od razu dziesiątki głosów.

— Tak, przez parów! — mówi młodzieniec.

— W ciągu 5-ciu dni przetrzucimy cały akwedukt, koryto wiszące. Inaczej wszystko pośnie. Będziemy pracować we dnie i w nocy i jeżeli będziemy się wszyscy, co do jednego... Ech, przyjaciele, wierzcie, wszystko jest w naszym rekui.

Jakby wiatr nagle powiał. Gromada ludzka pokrywająca zbocze z góry do dołu faluje. Szum i jazgot coraz się zwiększa.

— Co on powiada? Brednie!

— Ma rację!

— Nie czas na żarty! Hej, opamiętajcie się!

— Towarzysze! krzyczy młodzieniec, starając się wszystkich przekrzywić — Spójrzcie tylko: tu macie górę z rzeką Zródlaną, a tu macie bezwodną dolinę. Między nimi tylko ten parów. Czyżbyśmy...

— Parów śmieje się z ciebie! — rozlega się czyjś ostry głos. — Rzekę mu się zawrócić wstecz zachciało! Widział to kto!

— A zawróćmy ją! — woła gniewnie mówca. — Zawróćmy! Zobaczymy!

Gwar i okrzyki łączy się w nieartykułowany wrzask. Z pobliskiego parowu odpowiada niepewne echo. Jakaś niespokojna i zarazem głucha siła wzbiera w tych ludziach.

— Co za wymysły? Jaki tam znowu akwedukt?

E. Kapijew

W Ł A D Z A

(Fragmeni powieści pt. „Poeta”)

— Nie wyobrażacie sobie nawet, — nateża się mówca, spocony od krzyku. — Głowę daję... Chyba nie na darmo uczyłem się w mieście. Możecie mi wierzyć: albo stracimy całe nasze nowe zasiewy, albo zmusimy rzekę, by przeskoczyła przez parów. Decydujcie.

— I to wszystko w ciągu 5-ciu dni? — rozlega się głos z trybny.

— Pieciu! — odpowiada młodzieniec gwałtownie. — Inaczej być nie może. Czy to nie jasne? Przecież zasiewy poschną!

— Mahomet, możesz ty zwarować? — mówi wciąż ten sam, niedonośny, ale dobitny głos.

Mówca przerywa, ogłada się. Tam, wśród siwobrodych aksakłów stoi zły starzec spokojnie i z udaną obojętnością patrząc przed siebie. W oczach jego błyszczy złośliwa ironia. Tłum milknie. Ludzie, już prawie przekonani, znów zastygają bezwładnie na swoich miejscach.

— Chłopcze, chłopcze — zrzędzi starzec. — za kogo ty nas bierziesz?

— Za lud! — odpowiada młodzieniec; war mu uderza do twarzy. — Patrzcie, ojciec: zebrały się tu cztery auly. Dawniej przecież nie znaleźliśmy nawet swoich sił. Wadziliśmy się przecież ze sobą, przypominajcie sobie wszyscy żyliśmy w niezgodzie, a teraz... przecież to siła, widzicie sami...

— Przestań! — starzec macha ze złością ręką. — Jaka tam siła? Żeby zawrócić bieg rzeki, potrzebna jest siła wielkości tej góry. Mało co tam komu wpadnie do głowy? Zasiewy nasze, powiedzmy przepadły i tyle... Nie warto było męczyć się i słać na bezwodnych gruntach. Teraz zapóźno. To ja ci powiadam, ja, Szachsuwar!

— Czekaj, — mówi stropiony młodzieniec. — To znaczy jak? Ty mówisz w czynimś imieniu, czy tylko we własnym?...

Starzec wzrusza ramionami.

— Ej, ojcowie! — krzyczy doprowadzony do rozpaczki mówca, zwracając się do starców. — Wy mu chociaż powiedzcie. Ja nie śmiem przy ludziach sprzeczać się z aksakłami. A on nie ma racji! Jakto, to te nowe zasiewy tak mają przepaść? Coście robili za waszych czasów? POCO MY SIĘ WIEC TU ZEBRALI?

Starcy milczą ponuro, z ich zastygłych, za-

Hum. J. Pomianowski

mnionych twarzy poznać, że nie pochwalają zapalczywości młodego mówcy i że są pełni wątpliwości co do jego projektu.

— Za naszych czasów, — mówi wciąż ten sam kościsty starzec, — za naszych czasów zanosiliśmy prośby do Boga, synu mój i Bóg nam pomagał. Zapytaj najstarszego (skinął ręką na zgarbionego, zgrzybiałego starca, siedzącego nieopodal na kamieniu). Zapytaj go, on ci powie.

— Nie wciągajcie Boga w te spory! Przystaniecie spierać się o Boga! — woła staruszek, ogarnięty nagłym lękiem, bezradnie podnosząc obie ręce (stara się wstać, jego dłoń trzymająca posoch drży). — Zostawcie Boga w spokoju, bo mnie do łez doprowadzicie... Trzech starców podchodzi do niego i bierze go pod łokcie.

— Nie sprzecząmy się, Mężwedilu, — mówią ponuro. — Już wszystko skończono.

Starzec znów przysiadł na kamieniu i dysząc ciężko, zastyga z opuszczoną głową.

— Kiedy byłem młody — mamroczę, — Bóg bardzo mnie lubił... W tej chwili w grupie starców rozlega się naraz:

— A mnie, czy pozwolicie mówić?

Wszystko milknie. Wszystkie spojrzenia skierowane są w stronę uskoku. Powoli i z godnością, wsparty na posochu, wysuwa się naprzód Sulejman.

Przystaje na skraju uskoku. Młodzieniec skwapliwie i grzecznie ustępuje mu miejsca. Sulejman przez czas pewien patrzy przed siebie mrużąc powieki z wyrazem troski, jakby się nad czymś namyślał. Jedną ręką trzyma posoch, drugą zaś szpera w kieszeni na piersi.

— Szachsuwarze, — powiada, — ziemia ci się nie pali pod stopami, sąsiedzie?

Marwa cisza panuje dookoła.

— Co?! — pyta Sulejman z naciskiem i prostuje się. Mówi to nie patrząc na starca, lecz tylko skłaniając głowę w jego stronę.

Starcy, wśród nich i najstarszy, wyciągając szyję w zadziwieniu, patrzą na niego.

— Do ciebie mówię Szachsuwarze! — woła Sulejman, stuknąwszy posochem.

— Podziwiam cię, — niechętnie odpowiada mu Szachsuwar, — za kogo ty nas wszystkich masz?

— Uhu! — Sulejman kiwa głową i przy-

mruza oczy. (Wargi mu błędne). — Znaczący, — to mają być wszyscy. Napluj w oczy człowiekowi bez sumienia, on się obetrze i powie, że deszcz pada. Nic go nie wzruszy. Coś ty się dzisiaj uwiązał łamać nasze serca? Ja cię nie będę szczędził, Szachsuwarze. Ja cię złamię.

I, powiedziawszy to, Sulejman, ogarnia wszystkich ostrym spojrzeniem.

— Chodźcie sobie, sąsiedzi i mójśle, co to się dzieje? — mówi z troską. — Zdychają pszczoły, nie mają siły zbierać miodu. „Wody! Wody!” wołają zasiewy, ziemia rozwarła swoją suchą paszczę, a wy milczycie? Czy nie najwyższa już pora iść no rozum do głów? Żyliśmy w niezgodzie i z osobna, dłońmi ledwie garśc swojej ziemi obejmując, dziś pędzimy wspólne życie — i ziemi po wielokroć przybyło. Zuch, Mahomet! Dobry pomysł! Nie na próżno wybrał się do was przewodniczącego. Powiedźcie, sąsiedzi, zebraliśmy się oto z czterech dużych aulów. Wspólna mamy ziemia, wspólna treska. — czy naprawdę tajemny już beznadziejny? Sulejman podnosi posoch i głośno pyta:

— Czy wszyscy mnie widzicie?

— Wszyscy! — odpowiada mu chórem.

— Czy wszyscy mnie słyszycie?

— Wszyscy! — rozlega się z góry do dołu.

— Doskonale! — mówi Sulejman, opuszczając posoch i rozkładając się.

— Powiedźcie, przyjaciele, czy obfite jest źródło na tej górze?

— Obfite i pełnowodne! — mówią starcy z ożywieniem. Sam wiesz przecież. Bawołu w górę podrzuci. Tam cały potok bije z pod ziemi...

— I, znaczący się, tej wody starczy dla polewania naszych pól?

— Starczy, aż nadto! — krzyczą ludzie.

— Łopaty macie?

— Mam!

— Oskardy, łomy, tonory, deski, drut macy?

— Wszystko mamy — grzmi echo.

— Doskonale, — konkluduje Sulejman z zadowoleniem i, marszcząc się, bo słońce go razi, patrzy w górę. — Ej, sąsiedzi, a dokąd to? — A tam, gdzie przysięż! Ej, sito a ty gdzie idziesz? — Tam, gdzie przysięż! Ciekawe, cośmy za jedni? Czy damy radę? Ano, ty mi powiedz. Szarabie. — Sulejman zwraca się do stojącego najbliżej przed nim na zboczu człowieka, — powiedz, o czym teraz mówisz? Czarnobrodz opasy mężczyzna, do którego skierowane było pytanie, marszczy brwi.

— Ja czekam, co ogół postanowi. Jeżeli nie ma wyjścia to i bieg rzeki można oczywiście,

zmienić, dlaczego nie... tylko, że to trudne: boję się, że nie poradzi mi... —

— A ty? — pyta Sulejman, tknąwszy posuchem na chybli-traffic, w inną stronę. — Mów, Murtuzie, co ty sobie myślisz?

Zielonooki, mroczny człowiek, na którego wszyscy teraz patrzyli, odpowiada nie od razu. — Hm, hm... trzeba spróbować. Jeśli wszyscy naraz dmuchną, to wiatr się zrobi. Spróbujmy...

— Doskonale. — mówi Sulejman i celuje posuchem w górę, pod szczyt skały. — Ano, mów ty! Ej, kto tam w białej papasze? Co ty nam powiesz?

— Ja, Safarbak, trzymam twoją stronę, Sulejmanie, — rozlega się z góry donośny głos. Tylko boję się, że siła mamą mała.

— Mało, mało! — zgadzają się sąsiedzi.

— Siła mało? — mówi Sulejman rozszerzając ramiona. — Kto to powiedział? Toć to słowa Szachsuwara, a i ten radby już o nich zapomnieć i stoi, spojrzcie tylko, zwieszając nos na kwintę. Ano, przyjrzyjmy się sobie. Słuchajcie wszyscy, jeśli jest tu jakiś dawny czerwony partyzant, kołchoznik, członek partii, komсомолец, jednym słowem — sowiecki, czujając jaką taką odpowiedzialność człowiek — niech podniesie rękę. Ano!

I nagle, z szelestem takim, jakby rozwijało się szerokie skrzydło, cała góra od szczytu do podnóża porasta gęstym, kołyszącym się lasem ramion. Niespodzianka zapiera ludziom dech.

— Otóż i my! — powiada Sulejman z hamowaną siłą. — Podnosi rękę i wodzi nią wokół. — Ej, ludzie, spojrzcie na siebie.

Ludzie rozglądają się i twarze ich rozjaśniają się nagle, grzbiety bezwiednie prostują się, w oczach zapala się blask szczerzej dumy i siły. Nie opuszczając ramion, z ciekawością patrzą na siebie wzajem, jak gdyby widzieli się poraz pierwszy i dreszcz jakiegoś powstrzymanego porywu zamiera w ich szeregach.

— Widzieliście? — pyta Sulejman z radością. (Już wiele twarzy łśni uśmiechem). — My — to my! No cóż, Szachsuwarze, — powiada oglądając się, — ty mówileś zdaje się, że nie obajdzie się bez siły wielkości tej góry. Czy nasza siła nie równa się tej górze?

— Hurraaa! — grzmi ze wszystkich stron. Ludzie krzyczą od wielkiej i rwącej radości. Z góry do dołu i z dołu do góry przewalają się po wzgórzach, jakby burzliwe fale. Sulejman jest wzruszony. Starcy, stojący obok, prostują się bezwiednie. Ich zastępy i bolesciwie oblicza tchną teraz uroczystą pewnością, są pełne skupienia, jak podczas wielkiego święta. Zgrzybiały zaś i przygłuchy starosta, siedzący w ciągu całego wiecu w bezruchu na swoim kamieniu, powoli podnosi się bez wszelkiej pomocy, zostawiwszy swoją papaczkę i kij przy głazie, drobny krokami, jak po omacku, podchodzi na skraj uskoku. Staje po prawej ręce Sulejmana i, dysząc ciężko, patrzy spod dłoni w górę, na ludzi, potem, widocznie zadowolony, kiwa głową i mówi z radością:

— Tak, to są ludzie! Jeżeli lud zapagnie, to nawet wiołokowy pal da się wbić w ziemię. Dzięki Wam, synowie! Dzięki Bogu, jesteście godni szczęścia!

— Opuśćcie ręce! — krzyczy Sulejman. — Hej, ludzie. A teraz niech podniosą ręce ci, którzy nie są partyzantami, ani członkami kołchozu, ani partii, ani komсомола — jednym słowem ci, co żyją sobie z osobna, oddzielnie od nas.

Góra zamyka. Przez czas pewien wszystko dookoła — i ludzie i skały, i gazy — wszystko jakby czekało na coś, wstrzymując oddech. Ale oto gdzieś daleko, całkiem z boku, niesmiało podnosi się jedna jedyna ręka i uwaga wszystkich ogniskuje się na niej.

— A to kto znowu? — pyta Sulejman mrużąc powieki i patrząc z góry na dół. — Ach Szalbut, to znowu ty. Bogdaj by ci się dom rozwał!

Grzmący śmiech wstrząsa górą jak eksplozją. Śmiech, pomnożony przez echo od skał i wawozów rozlega się na całą okolicę. Ziemia drży, i zdaje się, że cały świat się śmieje.

Jak też ci się żyje? — pyta Sulejman ledwie wstrzymując się od śmiechu. — Za pięć minut sięjesz, siano na dachu kosisz, uparte biedaczysko? Człowieczek, który podniósł rękę, stoi wielce zmieszany i zupełnie stropiony, nie wiedząc jak postąpić: czy opuścić rękę, czy trzymać ją dalej w powietrzu. Zetłazy, niegdyś granatowego koloru jego besmet opasany jest na ledźwiach bardzo starym perskim ręcznikiem. Twarz pomarszczona, bez cienia zarostu.

Struchlały od nagle walącego się nań śmiechu ludzi, ziemi, skał, gór i kamieni, — raptem zadrżawszy, beznadziejnie ogląda się wokół i, ciągle jeszcze trzymając rękę w górze, opuszcza głowę i płacze.

Zamordowali — powiada — już mnie nie ma. Kurapatwę ze mnie zrobili.

A Sulejman tymczasem, machając obiema rękami, z trudem uspakaia wiewających i poważniejąc od razu czeka, póki nie zapanuje zupełna cisza. Po jego prawej ręce stoi starosta, na twarz którego zastygł zdrewniały, niemowlecy uśmiech, po lewej — stoi młodzieniec, patrzący w górę z zachwytem, jak zaklęty.

— Ej, ludzie! woła nagle Sulejman. — Odpowiedzcie teraz nie mnie, a temu niebu, tej ziemi, czy potrafimy, jeśli zapagniemy, w ciągu 5-ciu dni skierować bieg rzeki Zródlanej w stronę doliny, obrócić go wstecz, zmusić do postępu, i napoić rozwartą, chciwą paszczę naszych pól wodą? Odpowiadacie wszyscy?

I góra odpowiada jednogłośnie, wspólnym westchnieniem:

— Damy radę. Wszystko w naszym ręku.

Tłumaczył
Jerzy Pomianowski

O ZWIĄZKU WALKI MŁODYCH

(dokonczenie ze str. 1-ej)

sposób urzeczywistnić ustrój równości i sprawiedliwości społecznej.

Hasła te podjęła nieliczna tylko grupa młodzieży, która zdołała uzupełnić swoją samowiedzę społeczną naukami Marksa. Ta właśnie młodzież spróbowała w latach 1880—1895 wydać pełny polski przekład „Kapitału”.

„I właśnie szubienice, na których zawisli członkowie „Proletariatu” i schodka apuchtynowska przyspieszyły to tworzenie się i krzewienie fermentów opozycyjnych. Czyny te i ludzie wyrastały na miarę bohaterką i przykuwały do siebie imaginację nie tylko młodzieży akademickiej, ale nawet wyrostków...” — pisze Ludwik Krzywicki.

Pokazaliśmy dwa szeregi procesów z końca XIX wieku: jeden — społeczno-ekonomiczny rozwój kapitalizmu w dwu etapach, w drugim: dwa etapy „postępowego” wychowania i samowychowania się młodzieży.

Po co — spyta czytelnik, i w jakim związku z ZWM-em? Na drugie pytanie nieco później, na pierwsze odpowiadamy odrazu.

Rzeczywistością społeczną był kapitalizm, „pożerający” masy ludowe. I na niego reagowały w rezultacie systemy wychowawcze i samowychowawcze młodzieży Ale, co staraliśmy się wykazać — **nieadekwatnie**.

Większość młodzieży studiującej na uniwersytetach i w średnich szkołach rekrutowała się ze środowisk mieszczańsko-ziemiańskich. A Radkowie ze wsi (i w okresie pozytywizmu i następnym, o wzmocnionych nastrojach nacjonalistycznych) prześcigali Borowiczów w zaawansowaniu się w jeden czy drugi system fałszywego rozumienia rzeczywistości społeczno-historycznej.

Siły społeczne środowiska ziemiańskiego i mieszczańskiego odprowadzały z powrotem młodzież „wzruszoną społecznie” a przecież niejasno, na pozycje klasowe. O tym napisano już wiele w nowej Polsce. Powstał cały szereg portretów: inteligencji poszlacheckiej (piora prof. J. Chałasińskiego), ludomanski (J. A. Króla) i mieszczańskiej (J. Kotta).

Przypomnieliśmy również istnienie ruchu robotniczego, a to znaczy, że byli starzy działacze, była i młodzież. Wymieniają ją listy ofiar z procesu „Proletariatu”, listy ofiar manifestacji w Zgierzu, Łodzi i Warszawie z roku 1893 i listy ofiar rewolucji 1905 roku.

Z tą młodzieżą pozostawała w ścisłym związku i współpracę część inteligentkiej młodzieży studiującej.

3. KONTROFENSYWA

Historia ruchu socjalistycznego oddała należyte honory robotnikom — bohaterom niezliczonych strajków i lokautów, także i proletariatuwi wiejskiemu, walczącemu o zwiększenie zarobków i ordynarii, także i ruchowi ludowemu bijącemu się o prawa polityczne. Nie będziemy jej zatem powtarzać. Spróbujemy raczej odpowiedzieć dlaczego rewolucyjny ruch klasowy robotników został jeszcze przed pierwszą wojną światową w dużym stopniu zahamowany i dlaczego w latach międzywojennych spowiła go podobna do studenckiej, z czasów uniwersyteckich L. Krzywickiego — mgławica?

„Ścisłe połączenie haseł zachowawczych z patriotyzmem — pisał w r. 1913 J. Grabiec — stało się podstawą dzisiejszej **polityki narodowej**, reprezentowanej w Polsce niemal wszędzie przez żywioły należące do klas posiadających... Warstwy posiadające naszego narodu, nie zadawałając się hasłami **ładu i porządku społecznego**, które gdzieś indziej reprezentują klasy posiadające, w walce klasowej z masami ludowymi na każdym kroku nadużywają hasła obrony narodowej przed żywiołami przewrotu, kierowanymi obcą i wrogą narodowi polskiemu ręką”.

Leży przed nami program Stowarzyszenia Robotników Chrześcijańskich, z roku 1906, prowadzonego przez księdza Godlewskiego. Czytamy tam, że celem tego stowarzyszenia było:

1. Zwalczenie haseł i teorii niezgodnych tak z duchem chrześcijańskim, jak i narodowym; 2. Zapobieganie i przeciwdziałanie bezrobociu, czyli strajkom narzucanym przez obce żywioły przewrotowe a przynależące straty materialne zarówno pracującym, jak i pracodawcom i wnoszącym rozdział do niższych warstw narodu polskiego, który może być silny tylko jednością wszystkich; 3. Zachowanie sprawiedliwości i miłości między pracującym a pracodawcą; 4. Popieranie przemysłu i handlu swojego; 5. Szerzenie oświaty w duchu chrześcijańskim i polskim; 6. Praca nad podniesieniem poziomu moralnego, kulturalnego i obywatelskiego... (St. Kowalewski — „Historia Związków Zawodowych Robotników Polskich w Królestwie Polskim”).

W tego typu stowarzyszeniach — pisze St. Kowalewski „głos decydujący posiadali księża, patronowie stowarzyszeń... Tu uważano, że poziom intelektualny i moralny warstwy robotniczej tyle jeszcze pozostawia do życzenia, że organizowanie związków, w których by robotnicy byli panami u siebie, nie może wydać dodatnich owoców”. I dalej: „organizacje chrześcijańskie i polskie, nie uznające, wbrew ideologii socjalistycznej, pojęcia spo-

łeczeństwa z ostro zarysowanym podziałem na klasy, starały się przede wszystkim wyrobić w swych członkach zalety moralne, mające wartość bez względu na taką, czy inną pozycję socjalną”.

Tak więc do walki z rewolucyjnym obozem socjalistycznym stanął chrześcijański ruch robotniczy, montowany przez księży — patronów i Narodową Demokrację. Przeciwną hasłom walki klasowej wysunięto ideały miłości do kapitalisty, a klasową rzeczywistość społeczną usiłowano przesłonić narodowo-religijną wspólnotą, nazywając zwolenników rewolucji społecznej „obcymi żywiołami przewrotu”.

Chrześcijańskie związki robotnicze, skwapliwie legalizowane przez rząd carski liczyły w Królestwie (1908) około 50 tys. członków. W zaborze pruskim istniał właściwie tylko jeden związek robotniczy „Związek katolickich towarzystw robotników polskich”, skupiający 30 tys. spośród lepiej płatnych robotników przemysłowych. Poznański „Robotnik” (27 tys. prenumeratorów) reprezentujący „proletariat” zaboru pruskiego był skrajnie klerykalnym czasopiśmie.

Kiedy Dmowski przystąpił do organizowania mieszczańskich drobnokapitalistów — miał już grunt przygotowany. Twórca Obozu Wielkiej Polski nie zawahał się już nazwać rewolucyjnego socjalizmu — syfilisem, przywiezionym ze wschodu. Jednocześnie PPSu nadzierał nie tylko chrześcijański ruch robotniczy, ale także socjalizm „patriotyczny” grupy Piłsudskiego, gdzie hasła „obrony narodowej” przesłoniły istotę walki społecznej do której wzywał Ludwik Waryński.

Przygotowane do generalnego starcia z radykalnym ruchem robotniczym, zorganizowane siły społeczne mieszczańsko- i szlachecko-ludowe, wsparte „uniarodowioną patriotyzmem” grupą socjalistów „legionowych”, — zaważyły na polityczno-społecznych losach II Rzeczypospolitej.

W studium politycznym, zatytułowanym „W pierwszą rocznicę przewrotu majowego”, ocenia Ignacy Daszyński w następujący sposób sytuację wynikłą z układu sił społecznych w sejmie: „Po kilku miesiącach „rządu uspokojenia” gen. Władysława Sikorskiego, z którym współpracował Marszałek Józef Piłsudski jako szef Sztabu Generalnego, przyszło do rządu złożonego z „Chieny” i z „Piastów”. Spółka ta doszła do skutku, po umowie, zawartej na wiosnę 1923 r. w Lanckoronie, w dworze osławionego Hamerlinga... wybranego za pieniądze do Senatu z listy **chłopskiego stronnictwa** — „Piastów”!... Legendarny Piast w grobie się pewno przewracał z powodu tej niesłychanej kariery patrona rządów „Chieny - Piastowych”, lecz p. Witos miał w Sejmie większość i rządził przy pomocy takich ministrów jak pp. Kiernik... Kucharski... Hubert Linde... (później agent niemieckich przemysłowców), Marian Seyda, a po nim Roman Dmowski... Był to rząd **gwałtownego zubożenia kraju**, rząd prowokowania ludzi uczciwych i jawnego triumfu nieprawości publicznej. Sprowokowawszy w dniach listopadowych kolejarzy, walczących o sprawę swej dołi, spłamił się krwią robotników i żołnierzy przelaną w walce ulicznej w Krakowie, Tarnowie i Boryslawiu, by runąć w hańbie w grudniu 1923 roku”.

Zatem od początku istnienia II Rzeczypospolitej władzę w państwie przejęły te siły społeczne, które rozbijając jeszcze w latach sprzed I -szej wojny światowej rewolucyjny ruch proletariatu, podtrzymywały aż do kłęski wrześniejszego ustroju kapitalistycznego

I nie jest ważne dla sprawy wolności i równości społecznej, że w ciągu 20 lat istnienia „Polski mocarstwowej” zmieniały się rządy, skoro nieprzerwanie podtrzymywały one ustrój pogłębiający nierówności społeczne

Pozwólmy teraz zabrać głos robotnikom i chłopom przedwrześniejszej Polski. Mówi robotnik naftowy: „Kapitalizm głosił i dzisiaj to samo głosi, że jest rzecznikiem kultury i oświaty. A w praktyce coraz większe ograniczenia swobód obywatelskich i obozy koncentracyjne... Chociaż szubienice skrzypią a więzienia i obozy koncentracyjne są przepelnione, wierzę i tę wiarę wpajam w mózgi szarych ludzi, że socjalizm musi zwyciężyć, ale żeby podobać temu ciężkiemu zadaniu musi człowiek **dopełniać swe wiadomości** (prof. Mysiakowski i Gross — „Robotnicy pisa”).

A inny robotnik z powiatu jasielskiego, który w całym swym życiu przez jedno półroczcie uczęszczał do szkoły: „wszystko się składa na to, że proletariusz musi być dumny, inaczej nie byłby proletariuszem. Jeżeli jest robotnikiem, kowalem, robotnikiem rolnym, tym samym musi być biedakiem i to przysługującym ciemnotą. Wykształcenie dla innych. Nie dla psa kiełbasa. Oni nauczają się w szkole a ciebie robociarzu będą uczyć przez całe życie, jak masz bryndzę bić. Wszędzie cię będą uczyć na każdym kroku, a już najwięcej z kazińcy... Tak wyglądało moje samokształcenie. Wsiakło. Ale do jasnej cholery pocieszam się tym, że dziecko, które będzie wkrótce, **wychowam inaczej jak mnie wychowano**” („Robotnicy pisa” 1933).

Głos chłopów... „w dzisiejszej szkole polskiej powinna być wprowadzona do nauki „Historia chłopów” Świętochowskiego, by w szkole uczyć prawdziwej rzeczywistości i prawdziwej historii polskiej” (J. Chałasiński „Młode Pokolenie Chłopów” t. III).

Oto spowiedź robotników i chłopów, wymowniejsza chyba niż „urzędowe” dzieje „szarych ludzi” w okresie międzywojennym, Głosów wołających z dotów społecznych o powszechną dla wszystkich oświatę, o nauczanie istotnych dzieł narodu i o wolność społeczną dla „cierpiącego w wolnej ojczyźnie człowieka”, nie podtrzymała młodzież ucząca się w gimnazjach i na uniwersytetach.

Młodzieży mieszczańsko-szlacheckiej wypełniającej w 95 proc. gimnazja i uniwersytety przesłoniła różnicę klasowe legenda mocarstwowej Polski, pełniące funkcję przedmurza chrześcijaństwa pod błękitnym i białoczerwonym sztandarem. *)

Humanistyczny system wychowania oparty nie o społeczną przecięć, ale personalistyczną pedagogikę wychowawczą, usunął z pola widzenia młodzieży na cały międzywojenny okres społeczno - gospodarczą strukturę państwa.

Z wyżyn tak zmontowanego systemu wychowawczego w którym naród występował jako monolit społeczny, nie można było usłyszeć wołania tych, którym dostępny był tylko 1 oddział szkoły powszechnej.

Tak więc pokazaliśmy jak na okres lat międzywojennych wystartowały z dobrze już wcześniej przygotowanych pozycji, te siły społeczne, które broniąc swych klasowych pozycji, rozszerzyły własny system wychowawczy na świat drobno-mieszczański a częściowo i chłopsko-robotniczy.

Nie kreśliłmy historii tych lat, bo i tu — szło o przypomnienie tego przede wszystkim, że wraz z panowaniem klas mieszczańskiej i ziemiańskiej obowiązywało wychowanie podtrzymujące kapitalistyczną strukturę państwa. Nie było to przecież nieświadome podtrzymywanie ustroju, związane z brakiem wiedzy o rzeczywistych dziejach narodu, jakie występowało kiedyś u Borowiczów i Grodzkich, ale właśnie celowe fałszowanie rzeczywistości narodowej, przeciw rosnącej w dotychczasowych samowiedzy robotników i chłopów, w sytuacji niesłychanego napięcia, kiedy to żądając rozpisania nowych wyborów pisał w liście otwartym do prezydenta Mościckiego — Bolesław Limanowski w 1929 roku:

„Oto masy pracujące żyją we wciąż wzmagającym się burzowaniu. Masy robotnicze i chłopskie domagają się jednolitego dla wszystkich prawa i obrony swego bytu a gdy przemocą odbiera się im prawa, głos wolny i możność walki o swoje dobro, wówczas nadchodzi moment buntu i fala gniewu mas wstrząsa posadami państwa. Ten moment nadchodzi, zbliża się z każdym dniem. Kto odpowie za to co może nastąpić i przed czy później nastąpić musi? Wielu odpowie za cały system rządzenia, ale przede wszystkim pan pierwszy odpowie, Panie Prezydencie...”

Było to świadome działanie w sytuacji, kiedy jak czytamy w książce Adama Strapińskiego, członka Instytutu „Naukowego” Badania Komunistów — „Wywrotowe partie polityczne” (Warszawa 1933) w marcu 1928 roku na listy „przebudowę partii komunistycznych” padło 930 tys. głosów (licząc rodziny głosujących — około 4 milionów ludzi) kiedy jak podaje ten sam „Instytut Naukowy” w ciągu 1927 roku aresztowano 5 tys., a w 1932 roku już blisko 16 tys. (15.700) „wywrotowców”

Zatem na pierwszy oficjalny dzień międzywojennej Polski wypadło nam szukać sporej, bo liczącej tysiące — gromady lewicy robotniczej i chłopskiej, „tonionej” po więzieniach.

4. „W OJCZYZNIE CHŁOPÓW I ROBOTNIKÓW”

Staraliśmy się pokazać od jak dawna wskazywała rzeczywistość na konieczność socjalistycznego rozwiązania problemu społeczno-gospodarczego kapitalizmu. Próbowaliśmy także uwidatnić działanie tych sił społecznych, które u schyłku XIX wieku przystąpiły do generalnej kontrofensywy przeciw ruchowi lewicy i utrzymały liberalno - kapitalistyczny ustrój w Polsce, aż do drugiej wojny światowej. Siły te uniemożliwiły sfornowanie się potężnego i jednolitego ruchu młodzieży.

Jakiż to ma związek z ZWM-em a właściwie dziś już z całym prawem ruchem Młodzieżowym w Polsce?

„Reforma szkolna ma służyć europeizacji Polski w duchu nowej, socjalistycznej idei Europy, a nie w duchu przedwojennego mitu Europy liberalno - kapitalistycznej, mitu maskującego imperializm produjących państw kapitalistycznych” — pisze prof. J. Chałasiński („Myśl Współczesna” nr. 11, „Współczesne reformy szkolne i idea socjalizmu”). Oto opinia przedstawiciela świata nauki, który stwierdzając, że „losy Polski są związane z losami socjalizmu” postuluje wychowanie socjalistyczne młodzieży w ramach nowego ustroju.

Właśnie Związek Walki Młodych wszedł od razu w nową Polskę na „polską drogę” do socjalizmu, pociągając za sobą resztę organizacji młodzieżowych.

Idą one nareszcie razem, do nowej ojczyzny, „**ojczyzny chłopów i robotników**”.

Wiesław Jażdżyński

*) Patrz: W. Jażdżyński: „Gaudeamus” (o tradycjach wychowawczych w gimnazjach i na uniwersytetach), „Więść” Nr. 42 (121).

DWA GŁOSY

Jerzy Starnawski

Sumiennosc etnograficzna

W jednej ze swych pierwszych powieści pt. „Eli Makower” — osnutej nie na tle życia chaty wiejskiej lecz na tle dobrej i złej symbiozy szlachty z Żydami małomiasteczkowymi — przemycą Orzeszkowa, w sposób odpowiadający modnej w okresie pozytywizmu powieści z tezą, postulat, aby wychowanie sfer „wyższych” nie ograniczało się do muzyki i konwersacji francuskiej, aby szlachta zapoznała się z otoczeniem: z chatą wiejską. „Niziny”, „Dziurdziowie”, „Cham” i „W zimowy wieczór” — to szereg żywych i wszystkim znanych dowodów, iż konsekwentnie wypełniała Orzeszkowa ten postulat w swej dalszej twórczości.

Historycy literatury, zajmujący się twórczością Orzeszkowej — nieliczni dotąd coprawda — często wskazują na wartości leżące w wiernym odtworzeniu kultury środowiska w powieściach chłopskich Orzeszkowej (A. Drogoszewski), zwracając uwagę na materiał etnograficzny w nich zawarty (Chmielowski), dotąd jednak nikt nie opracował tego zagadnienia dokładnie. Obaj krytycy, którzy dotąd najdokładniej zajmowali się twórczością Orzeszkowej, uważają „Dziurdziów” za najważniejszy z jej utworów osnutych na tle życia ludu.

Akcja powieści rozgrywa się we wsi, której autorka dała miano „Suchej Doliny”. Dokładnie wieś ową zlokalizować jest trudno.

Z opisu wsi danego przez autorkę wiemy, że jako typ wsi była Sucha Dolina ulicówką „długim szeregiem czterdziestu może chat i ogrodów dość malowniczo rozciągniętych pośród pól zlekką falujących i zdobiących je osinowych i brzoźowych gajów”. Z literatury etnograficznej wiemy, że na Litwie i Białorusi jest to typ wsi dominujący (K. Moszyński — „Kultura ludowa Słowian: „Na znacznych obszarach Białorusi i Polesia... panuje ulicówka” — str. 559). Autorka charakteryzuje Suchą Dolinę jako wieś na ogół zamożną. „Większość chat miała pozór dostatni; były wprawdzie pomiędzy nimi niziołki, ubożuchne i nadprochniałe, ale nie brakło i takich, które świeciły białymi kominami, sporymi oknami i porządnyimi ganeckami opartymi na słupkach i zaopatrzonymi w wąskie ławeczki do siedzenia”.

Na umeblowanie tejże chaty Piotra Dziurdzi składały się: ogromny piec do gotowania strawy i pieczenia chleba, ławy, stoły, krzesła, krzesła, gospodarskie statki drewniane — nie więcej.

W zamożnej chatce Michała i Pietrusi był „samowar i łyżki błyszczące i jeden i drugi biały talerz”. Wiemy dalej, że w chatce Pietrusi oprócz ław i stołów znajdowały się nawet „trzy krzesła z drewnianymi poręczami”. „U sporych okien zieleniano w wazonach kilka niskich roślin, na małej szafce z dwiema szybkami polyskiwał blaszany samowar. Wymsyły też przywiozł z sobą kowaleczek z szerokiego świata, a może też zapoznała się z nim Pietrusia w szlacheckim dworcu, w którym za dziewczkę-folwarczną służyła”. Podobnie prymitywnie, jak urządzenie wnętrza, przedstawia się oświetlenie chat. Autorka pisze, że nawet w chatce Pietrusi „nie dosięgała wymyślność ani świec, ani lampy”. Izbę oświetlało „pomiedzy cegły wetknięte luczwo, palące się czerwonym i dymnym płomieniem”.

Warsztatem pracy wieśniaka jest rola i sad. Z powieści Orzeszkowej dowiadujemy się, jakie rośliny uprawiali mieszkańcy Suchej Doliny. Orzeszkowa podaje tu opis pól i ogrodów Suchej Doliny: „...falujące i gajami zwieńczone — miały pozór żyzności i niezłej uprawy; za nimi zieleniło się troche tak i dobrych pastwisk; w ogrodach gęste konopie stały gotowe do zdjęcia, okwitłe kartofle wyglądały obiecująco, bujne głowy kapusty dojrzewały, gęsto sadzone drzewa wiśniowe dawać musiały obfite plony owoców”; „...w ogrodzie gęsty gaj drzew wiśniowych, zmieszanych z dzikimi gruszkami, których owoc dostarczał na zimę wybornych gnilek”. Wiemy dalej, że zabudowania gospodarskie stanowią: „swironek, stodoły i obory”. O inwentarzu żywym i martwym informują następujące zdania powieści: „porykiwały krowy, odzywały się owce... stały nie wyprężone pługi i brony”.

Nie potwierdzoną, a nawet zaprzeczoną przez Łętowskiego — piszącego w 7 lat po Orzeszkowej — inowacją jest wprowadzenie w powieści pługów.

Zamożne gospodarstwo Piotra Dziurdzi liczyło: „cztery krowy, dwa konie, z których jedna kłaczka co roku wydająca żrebie, sześć owiec, wieprze, kury, gołębie, gniezdzące się na dachu”.

Oprócz pługów, bron i warsztatów tkackich wymienia autorka i inne narzędzia pracy mieszkańców Suchej Doliny, jak: siekiery, piły, cep. Podstawowymi czynnościami mężczyzn było: „orać, kosić, młócić”, gdy tymczasem kobiety miały „krowy doić, szmaty prać, świnie karmić, chleb miesić”. Zajmowały się też „pieleniem buraków i kapusty”.

Znajdujemy w „Dziurdziach” opis kopania ziemniaków. Odbywa się ono w sposób następujący: mężczyzna prowadzi plug, który wyorywa ziemniaki, a niewiasta podążając za nim zbiera je do fartucha, a następnie zsypuje do worka.

Dowiadujemy się, że mieszkańcy Suchej Doliny byli dobrymi gospodarzami: nie było przednówka u Piotra Dziurdzi. W śpiżniku je-

go, czyli „swironek” — „w największy choćby nieurodzaj zboża nie brakło, bo z roku na rok zostawał zawsze jakiś zapas i zbytek lat jednych latał braki drugich”. Pod tym względem Sucha Dolina wykazuje dostojne podobieństwo z Soplicowem, gdzie także „dostatek mieszka i porządek”.

Ubiór wieśniaka z Suchej Doliny jest prostym, samorodnym wytworem przemysłu ludowego. Szare płótno z lnu, który rodzi ziemia Suchej Doliny a pracowite ręce wieśniaczek tkają w każdej chatce — to jego główna podstawa. Chłopi „przyodziani byli w porządne samodziałowe kapoty i grube ale ostatnie, do kolan sięgające obuwie”. Wyraz „samodziałowe kapoty” powtarza się często. Piotr Dziurdzia miał „czapkę futrem baranin obszytą”. Pietrusia chodziła „w krótkiej siermiedze i sonej spódnicy, w płytliwych trzewikach i czerwonej chustce na głowie”.

Nie tylko pierwiastki materialnej kultury ludowej znajdują wyraz w powieści Orzeszkowej. Obficie czerpie autorka z wierzeń, zabobonów, zwyczajów i obyczajów ludu: liczne wzmianki poświadcza lecnictwu ludowemu, przesądom, przysłówom i wierzeniom. Te właśnie przesady i wierzenia dostarczają głównego wątku narracyjnego.

O lecnictwie ludowym mieszkańców Suchej Doliny dowiadujemy się, iż podstawowymi jego środkami były zioła zbierane z łąk, pól i lasów.

Z zastosowaniem ziół w medycynie ludowej niewątpliwie każdy zetknął się potrosze. W naszej literaturze etnograficznej dokładnie omawia to zagadnienie Bronisław Gustawicz w artykule: „O korzeniach czarodziejskich w lecnictwie ludowym u nas i indziej”.

Obok ziół stosowane są i inne środki na przesadach i zabobonach oparte. „Młodej Łubowej doradziła Pietrusia, gdy sroga febra nią trzęsła, spojrzeć na kurozę lub kaczą wyjętą pierwszą wiosną — i w tejże chwili co prędzej włożyć na fartuchu lub chustce zawieszoną — Odjęła jak ręką”. „Dzieci, które dostawały konwulsji, kładła na desce pośród koła zarysowanego kredą, a te, które kółkusz męczył, poila sokiem rzepowym podawanym w samej rzepie, w formie kielicha wydrążonej”.

Do najważniejszych zabobonów i przesądów wśród mieszkańców Suchej Doliny panujących należy wiara w możność wykrycia człowieka przy pomocy pewnych cudownych środków. Dwukrotnie w powieści znalazło to swój wyraz: w wykryciu złodzieja i w wykryciu czarownicy.

Gdy Piotr Dziurdzia zapytał Aksenę o sposób odkrycia złodzieja, podała mu następujące rady: „Weźcie sito, wbiście w nie nożyce i niech dwoje ludzi położy palec pod ucho nożyc, a drugie ludzkie niech mówią różne nazwiska, jakie sobie tylko wspomną. Na czyje nazwisko sito zakrepi się, ten złodziej... I to jest taka pewna prawda, że ja nieraz, ale sto razy na własne oczy widziałam... Można na sito złodzieja wywróżyć, można i na Ewangelie. To już jak gdzie... w jednych stronach na sito wróży się, w innych na Ewangelie...”

Jan Maria Gisges

GMINNA BIBLIOTEKA

I.

Na zaśnieżonej szybie napisać wiersz
nie trudno, gdy wiatr potrząsa zawieją,
że na niwie
kładzie się bezziemnie biały czas zimy.
Trudniej słowem opisać jak śniegiem
na miedze, sady, chaty
i wyrosnąć drzewem — wiosną —
trudniej przed oczy stanąć zmęczone czarną literą,
gdy knot lampy filuje i kopci —
trudniej pamięci wchłonąć czarne bruzdy wierszy
wierniej niż ziemia,
wierniej niż ogień.
Na zaśnieżonej szybie napisać wiersz
nie trudno, gdy głosy obok symfonii pracy
kołyszają.

II.

W Nagłowickim parku
dłoń o dłoń oparta —
twarze chłopów przyklejone do szyb —
różowe kwiaty jak papieroplastyka nieb
są z zagród i miedzi.
Gońcie swą tęsknotę w zadymce wieczoru,
a na białych kartach znajdziecie nowy czas!

Niosę wam burzę i burzy kobaltowe kolory,
z której treść spływa jak deszcz
i polski wiersz — „wszak Polacy nie gesi...”
Częściej, coraz częściej
modlitwę przemiany odmawiasz w swoich oczach
i w źrenicy sąsiada.
Tomy na półkach, zawieja nad polami —
a ty — klękni! Grzbiety nowych książek
są jak świętość rzeźbiona czcionkami.

Drugim — o wiele ważniejszym i o wiele bardziej wstrząsającym i zadziwiającym motywem, motywem przenikającym niemal wszystkie karty powieści-tragedii jest motyw wykrywania wiedzy czyli czarownicy. Czarownicom wiele uwagi poświęcają gadki ludowe z ust do ust od wieków powtarzane. Wiele uwagi zagadnieniom czarów i czarownic poświęca literatura etnograficzna polska i obca.

Ryszard Berwiński, poeta i etnograf polski z epoki romantyzmu, w dziele p. t. „Studia o literaturze ludowej” pisze: „Czarownice nie są to narodowe postaci, ale... kosmopolitki, nie w tym lub owym kraju urodzone i wychowane, ale spłodzone na drodze rozstajnej, pomiędzy światem doczesnym a wiecznym, z ojca — wojującego Kościoła i matki — ciemnoty”. (Słowa Berwińskiego przytaczam za artykułem Jana Karłowicza p. t. „Czary i czarownice w Polsce”, (Wista, t. I. 1887). Na innym miejscu tejże pracy powołuje się Karłowicz na dzieło niemieckiego etnografa Toppena: „Aberglauben aus Mazur” — Gdańsk 1867, które w 12 lat później ukazało się w polskim przekładzie w 13-tym tomie „Wisy”. Czytamy w dziele Toppena o istnieniu jednej lub dwu czarownic w każdej wsi. Lecz rozprawa Karłowicza ze wszechmiar godna uwagi i zainteresowania powołuje się na inne dzieło: jest to siedemnastowieczna „Czarownica powołana” Rosenblatta (1639), wskazująca na dawne istnienie czarownic. W dziele tym wyczytał Karłowicz: „ty mi czasy nasza Poliszca niezwykajnie za-gęściła się czarownicami lubo prawdziwymi lubo mniemanymi, tak, iż na posiedzeniach i schadzkach o żadnej materii więcej nie usłyszysz, jako o czarownicach”. Karłowicz stwierdza, że wierzenie o czarach i czarownicach obejmuje całą Polskę, sięga i poza nią, uważa jednak, że „na Litwie i wśród Białorusinów wiara (ta)... jest powszechniejsza i że czarownice spotyka się tam więcej. Oprócz zwykłej nazwy „czarownica” słyszy się tam czasem „wiedźma”.

Wskazują źródła etnograficzne, iż w każdej wsi bywa jedna lub dwie czarownice. W suchej Dolinie za taką czarownicę uchodziła Pietrusia-kowalich. „Dawno już mieszkańcy Suchej Doliny podejrzewali Pietrusię, wnuczkę ślepcy Aksenę, że posiadała wiadomości i moce, jakich posiadać nie można bez stosunków z nieczystą siłą”.

Podejrzewano też, iż to ona spowodowała chorobę Klemensa Dziurdzi, któremu rzekomo „paskudnego ziała nasypała”. Zwrotnym punktem akcji powieści, brzemieniem w tragiczne następstwa dla osób w powieści występujących, tak dla Dziurdziów jak dla Pietrusi, jest dzień, kiedy w gospodarstwie Piotra Dziurdzi zabrakło mleka u krow i gospodarz z całą rodziną rozpoczął poszukiwanie wiedzy sprawczy tej utraty.

Aby wykryć czarownicę, Dziurdziowie zapalili na rozstajnych drogach ognisko z drzewa osinowego, wierząc, iż „wiedźma nie przyjdzie na inne... tylko na osinowe”: „tąja, co nam takuju krydu zrobiła, przyjdzie na ogień zapalony z tego osinowego drzewa, na którym

powiesił się Judasz, psia jego dusza, co w żydowskie ręce wydał Pana Naszego Jezusa Chrystusa”. Gdy nadeszła tam wreszcie Pietrusia, okrzyknęto ją wiedźmą. Piotr Dziurdzia, głowa rodziny, stwierdził dostojnie: „Ot i okazał nam Pan Bóg Wszechmocny krzywdicielkę naszą”.

Motyw odkrycia wiedzy przez rozpalenie ognia z osinowego drzewa na rozstajnych drogach nie jest potwierdzony przez źródła etnograficzne znane autorowi pracy niniejszej. Rozprawy podają szereg innych sposobów. Oto Paweł Plichta w IX tomie Wisły ogłasza wybrane ustępy z pracy rękopiśmiennej Zofii Stanisławskiej o lecnictwie ludowym w Gródkiu Nadbużnym, pow. Hrubieszowski: „Na odbieranie mleka gospodynie starają się radzić”. Biorą przeto „cedzidło płócienne do cedzenia mleka, trzy razy po trzy kolek z tarniny, ty-leż igieł i gotują to razem w glinianym garnuszku. Po niedługiej chwili ten, kto coś porobił krowie, przyjdzie do chaty”. Szukiewicz (op. cit.) podaje, iż w Wileńszczyźnie, chcąc złowić czarownicę otrząsa się rosą po miedzach. Czarownica wszedłszy na taką miedzę, ma według wierzeń ludu upaść i nie wstać aż kto nadejdzie. Fedorowski (op. cit. A II cz. I Kraków 1902) podaje, iż we wsi Ku-klicze (okolice Łysowa), „chłopi wiedźmą mleko odebrała. Zawiozł mleko pod krzyż na rozstajne drogi i tam począł cedzić. Wiedźma zjawiała się i przynosiła”. Ta wersja bliższa już jest Dziurdziom, mówi bowiem o rozstajnych drogach pod krzyżem.

Powszechnie i coraz mocniej zaczęto uważać Pietrusię za wiedźmę, aż dnia pewnego czterej Dziurdziowie — pijani wówczas — kijami potłali Pietrusię zebrą, zostawiając ofiarę „balemu śniegowi na podściół, czarnym kruk-kom na strawę”, a „w kilka tygodni później sami karetką wiezienną podążyli na dożywotnie ciężkie roboty na Syberię.

Jak powszechna jest wiara ludowa w czary i czarownice, w ich praktyki, ku czynieniu zła ludzom zmierzające — tak często powtarzają się zabójstwa wiedźm. Karłowicz (op. cit.) opisując dokładnie jeden z takich wypadków, który zdarzył się we wsi Cha-lupy w powiecie Wejherowskim w roku 1836, stwierdza, że więcej takich wypadków zdarzyło się w Prusach Wschodnich i na Pomo-rzu, czyli w kraju, którego dotychczasowi władcy tak wiele mówią o swym przodownictwie w kulturze. Siegając zaś do aktów sądowych dawnej Rzplitej wydobyla się na światło dzienne stare procesy o czary, którym początek dała sprawa Doroty Gnieczkowskiej, spalonej żywcem w Poznaniu w roku 1544 za mniemane czary. O tejże samej Gnieczkowskiej pisze Berwiński w rozprawie „Studia o gu-słach, czarach, zabobonach i przesadach ludowych” (Poznań 1862). Od tej pory każde 10-lecie znaczy się kilkoma podobnymi sprawami w różnych dzielnicach Polski. Czarownice z reguły były karane śmiercią. Wśród owych okropności jako humorystyczne inter-mezzo cytuję Karłowicz dekret z roku 1706 wydany w Szczekocinach w sprawie dwu ko-biet posądzonych o czary. Wyrok sądu za „kłótnie wielkie za niepotrzebne swary” — w sprawie zaś czarów wyrokował iż „przez świadectwo nie masz nic pewnego, ale tylko baśnie niepotrzebne, które aby małżonkowie hamowali... sąd dekretem nakazuje”.

Przytaczając to czyni Karłowicz uwagę: „Gdyby wszystkie sądy ówczesne tak trzeźwo jak ten na rzecz się zapatrywały, sprawy o czary umilkłyby, a miecz katowski nie byłby czynny”.

Fedorowski notuje na Rusi litewskiej szereg zabójstw wiedźm, wymieniając wsie: Kusinice i Wiszkie (okolica Sydiowic), Kuklicze (okolica Łysowa) i inne.

O ile w dziedzinie kultury materialnej i duchowej znajduje się w „Dziurdziach” bogactwo materiału, o tyle żywioł społeczny dość ubogo się przedstawia. Autorka kreśli wieś zapadłą, odciętą od świata. Z czynników kultury społecznej mamy tylko wiadomość, iż Piotr Dziurdzia „piastował w swej wiosce ważny w społecznym życiu całopow urząd starosty”.

Drobne wzmianki o karczynie, jarmarku i oduście dopełniają obrazu życia społecznego mieszkańców Suchej Doliny.

Reasumując zebrany materiał stwierdzić wypada, że Orzeszkowa starała się zebrać i wiernie odtworzyć w swej powieści żywioł etnograficzny. Drobne usterki, wprowadzenie odmian i modyfikacji, świadome lub nieświadome, celowe lub nie celowe — darować możemy wobec wielu obrazów naprawdę świetnych, mnóstwa reminiscencji wiernych i dokładnych, zwłaszcza w dziedzinie kultury duchowej. W dziedzinie kultury materialnej są o wiele większe luki i niedociągnięcia. Epokowe znaczenie powieści polega na tym, iż jest ona w literaturze polskiej jedną z pierwszych powieści chłopskich napisanych po uwłaszczeniu włościan. Stylizowała chłopów epoką pseudoklasyczną. Z realizmem usiłował przedstawić chłopów wójskiego Kraszewski, który jednak widział jeszcze chłopów pańszczyźnianego. Orzeszkowa pierwsza dała literaturze polskiej chłopów pracujących już na własnym gruncie. Twórczość jej antycypowała wielką epopeję chłopską Reymonta.

E. ORZESZKOWEJ

Maria Żmigrodzka

Etnografizm a realizm

NIECO POLEMIKI

Uwaga autora artykułu o żywiole etnograficznym w „Dziurdziach” zeszkolona została na zagadnieniu: — na ile wiernie i ze znajomością rzeczy odmalowane zostały w powieści Orzeszkowej wszystkie realia życia białoruskiej wsi 80-tych lat XIX stulecia.

Praca żmudna i wymagająca zarówno orientacji w problematyce badań etnograficznych jak i dużego odczytania posłużyła autorowi do ustalenia niezłomnego faktu: — Eliza Orzeszkowa znała dobrze lud białoruski o kolic Grodna i w „Dziurdziach” dała wierny i dość dokładny obraz jego życia.

Jest to jedyna bezsporna teza, jedyna pozytywna wartość sumiennej i erudycyjnej rozprawki. Nawet jednak i ona nie da się bez przekroczenia ciasnych ram metodyki autora przełożyć na język konkretnych form i chwytów literackich, ani wyrazić w kategoriach żadnego systemu ideologicznego. Nie może więc posłużyć do wyznaczenia „Dziurdziom” właściwego miejsca w ciągu rozwojowym pozytywistycznej powieści społecznej, czy dziewiętnastowiecznej „historii idei”. Gorzej nawet — teza nie wykorzystana dla żadnych zabiegów interpretacyjnych, nawet w obrębie samego utworu, wyodrębniona i podkreślona jako samodzielny, dostatecznie ważny wynik pracy naukowej, wykrzywia proporcje właściwego widzenia utworu literackiego i sprawia, że jak w wypadku artykułu o „Dziurdziach” wszelkie inne wnioski i uogólnienia muszą być z konieczności fałszywe, lub nieprzydatne do dalszych rozważań.

Czym wytłumaczyć tę szkodliwą autonomię zainteresowań etnograficznych w historyka literatury, to przecenianie ważności ustalenia faktu etnograficznej dokładności utworu literackiego?

Przed wszystkim jest to skutkiem metody badawczej użytej przez autora — można ją w najogólniejszych zarysach podciągnąć pod praktykę metody filologicznej. Siedziwa ta metoda, wykształcona przez uczonych szkoły aleksandryjskiej — zbieraczy i komentatorów starych tekstów — stała się dziś podstawą każdej naukowej pracy historycznej. Błada jednak jeśli badacz ograniczy się do niej, jak to miało miejsce u kolebki dzisiejszej humanistyki. Troska o właściwe ustalenie tekstu i poprawna jego interpretacja, ocena dokładności literackich realiów — (stad np. dla J. Starnawskiego ważnym i istotnym jest zagadnienie czy istniała i gdzie była położona Sucha Dolina) — wszystkie te czynności wstępne, o ile nie wyznaczają im się właściwego miejsca w hierarchii problemów badawczych, mogą zniekształcić wyniki pracy.

Stanowisko J. Starnawskiego zdradza, że jego rozumienie sensu tendencji „zblżenia do ludu”, którą uważa za przyczynę sprawczą istnienia zagadnień chłopskich w twórczości Orzeszkowej, zbliża się do XIX-wiecznych tendencji ludomani, wyrażających się w zachłystywaniu się barwnością wsi — jej plenienną krzepką i piastowską godnością.

Konsekwencją orzerostu zainteresowań żywiołem etnograficznym w rozprawce są znamienne.

Przed wszystkim w ramach takiej koncepcji recepta na powieść z życia ludu pokrywa się w zasadzie z poetyką naturalizmu, lub co najwyżej „małego realizmu”. O realizm powieści decydująca ma dokładność i wierność realiów powieściowych. Stad J. Starnawski uważa, że można Orzeszkowej darować wprowadzenie w powieść nieznanego chłopom białoruskim pluga oraz inne „drobne usterki”, wobec wielu obrazów naprawdę świetnych, reminiscencji wiernych i dokładnych, zwłaszcza w dziedzinie kultury duchowej. Słowem wypracowanie na dobrze z plusem, czy jednak celem jego było istotnie tylko odmalowanie sierniej i „świronków”?

Sprawa „Dziurdziów” nie jest prosta, a ujęcie J. Starnawskiego gmatwa ją znakomicie.

Prawda, że żywioł etnograficzny jest ważnym elementem powieści. Prawda, że Orzeszkowa była współpracowniczką „Wisły”, że gromadziła z zapalem zieleni oraz dane do ustalenia ludowej nomenklatury posiadanych okazów roślin, prawdę, że korespondentów i przyjaciół — każdego kto chciał i nie chciał zasłonywać suszonym „kwieciami nadniemieńskim”. Należy być jednak bardzo ostrożnym przy wysuwaniu na pierwszy plan tego ludomanińskiego ludoznawstwa przy ocenie powieści chłopskich Orzeszkowej, — w każdym zaś razie należy jasno rozumieć jego sens. Nie wolno też zapominać o Orzeszkowej — wielkiej realistce.

„WIELKI” CZY „MAŁY” REALIZM

Pełne wydanie zbiorowe wszystkich dzieł Orzeszkowej, na które nie możemy się dotąd zdobyć mogłoby jako całość zostać objęte tytułem jednego ze zbiorów jej nowel: „Z różnych sfer”. Literacka spuścizna Orzeszkowej to zamierzony i konsekwentnie przeprowadzony przebieg przez wszystkie środowiska i grupy dziewiętnastowiecznego społeczeństwa polskiego. Pisze o tym do Karłowicza z okazji „Dziurdziów”: „Wyznaję Szanownemu Panu, że doświadczam pewnej, dość żywej rozkoszy przebiegając z kolei myślą i piórem wszystkie warstwy społeczeństwa naszego, zaczynając od tej, którą zapewniają Pompa-



Eliza Orzeszkowa

portret A. Kamińskiego

lińscy, przechodząc przez mieszczaństwo, żydostwo, klasę urzędniczą, aż do chłopstwa. Jeszcze mi pozostaje szlachta zagrodowa, z którą w Miniewiczach zetknęłam się z bliska. Roboty takie są niezmiernie proste i poziome, ale zadawalniają ciekawość umysłową, która do każdego zakątka budowy społecznej oko i umysł pociąga.”

Orzeszkowa ma dużą zdolność socjologicznego widzenia życia społecznego — w chaosie zjawisk życiowych znakomicie dostrzega zrzęby i wiązania „budowy społecznej” i mechanizm rządzący życiem gromadnym.

„Dziurdziowie” są doskonałym przykładem powieści środowiskowej, w której, mimo tradycyjnego schematu budowy akcji, opartej na konfliktach pozornie osobistych, na pierwszy plan wysuwa się gromada w swym ustroju i działaniu oraz zagadnienie „straszego gniewu ludzkiego”, niszczonego człowieka uśnietego poza nawias życia swej grupy.

Postacie bohaterów ujęte są również w kategorii socjologicznej, jako emanacje pewnych pozycji społecznych, celowo nieco schematyzowane dla podkreślenia ich typowości.

„Były to trzy Dziurdziowie, żony Piotra, Stepana i Szymona Dziurdziów. Były to także trzy zupełnie różne ze sobą typy chłopów i trzy wyraźnie różne dole kobiece...” — oto wstęp poprzedzający opis postaci bogaczki, gospodyni średniozamożnej i wiejskiej nędzarki.

Doskonale zwarta i skondensowana akcja „Dziurdziów” posiada trzy dość szeroko rozbudowane momenty epizodyczne, które można by usunąć bez większej szkody dla całości — jest to narada w chacie starosty, zebranie w karczmie z okazji planów procesu i wreszcie zabawa w karczmie po jarmarku. Sceny te służą wyraźnie jedynie pogłębieniu charakterystyki gromady, jej wewnętrznej różnorodności i hierarchii, podstaw krystalizowania się ośrodka kierowniczego, mechanizmu jego działania itp.

Te fragmentaryczne zresztą przykłady rzucają dość wyraźne światło na charakter powieści Orzeszkowej i na ich rolę może dziwić teza J. Starnawskiego o tym, że w powieści „Żywioł społeczny” dość ubogo się przedstawia „w porównaniu z kulturą „materialną” i kulturą „duchową”. Jest to jednak zrozumiałe w pracach badacza operującego metodą filologiczną. „Żywioł społeczny” przedstawiać się będzie bogato dla J. Starnawskiego zapewne wtedy, gdy autorka przedstawi dokładnie rosyjską machinę administracyjną na szczeblu Suchoj Doliny, co da możliwość zestawienia tego opisu z odpowiednimi ukazami carskimi.

Socjologiczna docieklność i determinizm przytłaczający, z którego tak dumna jest autorka „Dziurdziów”, nie są jednak jeszcze konstitutywnymi cechami „wielkiego realizmu”. Socjologiczna konstrukcja losów jednostki, że użyję słownu współczesnych szermierzy realizmu, musi być oparta o jakiś spłot konkretnych konfliktów społecznych, podporządkowana właściwej interpretacji mechanizmu życia społecznego. Tu dopiero zaczyna się właściwe zagadnienie „Dziurdziów”: „socjologiczna konstrukcja losów jednostki” opiera się o ścianę mgły. Na tej wsi, w kilkanaście lat po uwłaszczeniu, na pierwszy rzut oka wszystko zdaje się iść „jak najłepiej”. Jeśli domyślamy się jakichś konfliktów, to zostały one zlagodzone lub zamazane: istnieje w sąsiedztwie folwark — nawet

Pietrusia „horuje” na nim sześć lat czekając na Michałkę, ale w życiu wsi zdaje się on nie istnieć — jedyny i to domniemany ślad jego oddziaływań, to „kresła” w chacie Kowala.

Istnieje błędota — zapijaczony, głupkowiasty Szymon Dziurdzia, wiejski złodziej Jakub Szyszko, ale przyczyny ich nędzy zostały znów zamazane, — może wódka, może gorszy przydział gruntów, może liczna rodzina. Istnieje jakieś sprzeczne — Sucha Dolina chce się procesować o jakąś nieprawnie zagarniętą łakę — zwykły przedmiot nagminnych procesów między dworem a wsią, skutkiem niepełnego uregulowania spornych spraw w okresie uwłaszczenia. Przeciwnik chłopów w tym procesie jest jednak osobistością tajemniczą — mówi się o nim jako o „dotychczasowym posiadaczku”.

Na marginesie akcji odnaleźć możemy echa zatargów między wsią a dworem o lasy. „Nie dla jednego Pan Bóg las zasiał, a dla wszystkich zasiał...” dowodzi chłop skazany na „sztraf” za kradzież drzewa w pańskim lesie. Szymon Dziurdzia nie może pokryć swych długów sprzedając część ziemi bo „od rządu nie wykupiona”. (Z tytułu odszkodowań dla szlachty, wnoszonych w formie wykupu za robociznę, chłopci tzw. gubernii zachodnich obciążeni zostali spłatami pożyczek udzielanych na wykup przez rząd rosyjski — W. Kula „Historia gospodarstwa polskiego”).

Co jest przyczyną, że te ułamkowe dane zostały jeszcze zamazane i są tak trudne do wydobycia? Dlaczego mniej uważnemu czytelnikowi rzuci się w oczy przede wszystkim ogólny opis Suchoj Doliny — „wsi szczęśliwej”, w której większość chat miała „pożór dostatni”, a grunta „pożór żywności i niezłej uprawy”? Wiesz tę zamieszkuje wg Orzeszkowej „rolnicy, którym wiatry boże niosą rzeźwość i zdrowie... posiadacze, którym ziemia własna rodzi bujne kłosa...”

Dlaczego opis etnograficzny rzuca się w oczy dezorientującą czytelnikowi zaniedbującą go wykrycia sensu literackich szyfrów?...

U ŹRÓDEŁ LUDOMAŃSKIEGO SOLIDARYZMU

W latach 1857—58 rząd rosyjski zlecił opracowanie projektu reformy położenia włościan tzw. Komitetem do spraw włościańskich, wyłonionym przez sfery ziemiańskie. Orzeszkowa pisze o tych czasach w liście do dr Baranowskiego w r. 1899, z okazji książki W. Przyborskiego:

„Kiedy to się działo miałam lat 16 i byłam już meżatka w samym ognisku szlachty obradującej i we wszystkich biorącej udział. Ten Orzeszko, tak często w książce wspomniany, był naszym bratem stryjczym, jako marszałek stał na czele Komitetu obradującego nad sprawą włościańską i w domu jego odbywały się liczne zjazdy, gwarne narady, którym przysłuchiwałam się z ciekawością gorącą”.

Orzeszkowa z dumą pisze o znacznie większej postępowości szlachty polskiej Litwy i Białorusi w porównaniu ze szlachtą rosyjską i szlachtą Królestwa Polskiego:

„Wszystkie gubernie opowiadały się za uwłaszczeniem. Grodzieńska za uwłaszczeniem pełnym — reszta — w różnym mierzcie za odaniem sadyb — chat z ogrodami”.

W r. 1861 Komitety ziemiańskie zostały usunięte od udziału w pracach nad uwłaszczeniem. Rząd rosyjski przeprowadził reformę

radikalniej zresztą niż to przewidywały projekty szlachty.

To wykluczenie czynnika społecznego, a także szereg obostrzeń na niekorzyść ziemianstwa budziło niechęć szlachty — nawet najradzykalniejszej. Widziano w tym niebezpieczny dla polskości tych ziem sojuszu ludu białoruskiego z rządem. Wytykano usterki i błędy tej reformy.

Orzeszkowa pisze do Jeża w r. 1876 — „...służyliśmy sami za tę „anima vilis”, na której dokonał się eksperyment dokonywania zmian ekonomicznych i społecznych wg przepisu: na prawo marsz! I widzieliśmy, że wiele rzeczy poszło na lewo”.

Wpływem rosyjskim przypisywano ciemnotę i niski poziom moralności ludu. Orzeszkowa nawet kradzieże zapisuje na konto działalności kulturalnej rządu rosyjskiego: „...Nie tłumaczy się to biedą, biednymi nie są, a 3/4 majątkości zostawiają w karczmach, lecz tłumaczy się to wybornie wychowaniem, które otrzymali, ostatnią szczególnie lekcją, udzieloną im w ostatnich kilkunastu latach”. (List do Jeża z r. 1879).

Uwłaszczenie chłopów było ostatecznym klinem wbitym między ziemianstwo polskie a białoruski lud tzw. gubernii zachodnich — „...reforma uwłaszczeniowa postawiła żywioł polski na tych ziemiach od jednego zamachu wobec utraty połowy obszaru kraju”. (W. Kula op. cit.).

Po powstaniu 1863 roku, polski stan posiadania skurczył się gwałtownie dzięki konfiskatom i ruinie gospodarczej wielu majątków ziemskich. Zrujnowani ziemianie powiększając kadry tworzącej się nowej warstwy — inteligencji. Do grupy tej należały Orzeszkowa. Przedstawiciele tego odłamu są niejednokrotnie najsurowszymi sędziami — moralizatorami w stosunku do warstwy szlacheckiej, niemniej jednak zawsze śpieszą jej z pomocą w momencie zagrożenia. Utrzymać ziemię — hasło Benedykta Korczyńskiego — to leitmotiv wszystkich utworów Orzeszkowej zahaczających o problematykę wiejską. W „Dwóch Biegunach” p. Seweryna Zdrojowska snuje marzenia o zjednoczeniu wszystkich rolników — od wielkiej własności do najmniejszej, w celu pomocy, ochrony i oddziaływania kulturalnego.

Te solidarystyczne koncepcje łączą się ściśle z tendencją do tuszowania źródeł konfliktu i z propagowaniem współpracy i współżycia z wsią. Nigdzie na przestrzeni całej twórczości Orzeszkowej nie został wyraźnie pokazany dwór w epoce po uwłaszczeniu chłopów w swych realnych stosunkach z wsią. Konkretne zarysowane są już sprawy służby folwarczej („Niziny”, „Tadeusz”) Orzeszkowa nie szczędzi co prawda cierpkich słów pod adresem dworów szlacheckich, gnających chłopów, ale odnosi się to do czasów pańszczyznianych. („Obrazek z lat głodowych”, „Przy dochodzeniu śledczym”). Jeśli był chłop pańszczyźnianego malowała sama w ponurych barwach, tym nie mniej entuzjastycznie wała się próbami zdjęcia ze szlachty odpowiedzialności za nędzę chłopów. Stad płynęło jej przejęcie się losami pracy Przyborskiego „Włościanie w Polsce i na Rusi”.

Pisała o niej w r. 1880 do Kraszewskiego: „Przysłał mi Walery Przyborski rzecz bardzo piękną o włościanach naszych. Są to szkice, a raczej studia historyczne traktujące historię włościan polskich z punktu porównawczego i zmierzające do wykazania, że we względzie tym, jeżeli działo się u nas nie-dobrze, to pod wpływem niezłomnych wpływów i konieczności dziejowych, które nie tylko u nas, ale i wszędzie podobnie sprowadzały zjawiska nie tylko podobne, ale sto-kroć nie raz gorsze, srozsze, bezwzględniejsze. Książka ta będzie użyteczna bardzo tu, gdzie młodzież pod wpływem tendencyjnego nauczania historycznego opuszcza szkoły z przekonaniem, że Polska i tylko jedna Polska była „plekłem chłopów”. A więc odrzutka na młodzieżyowy radykalizm. Orzeszkowa daleka była od fanatycznego nacjonalizmu i przychylna ludności białoruskiej, stała jednak na stanowisku, że dalsze uszczuplenie stanu posiadania dworu jest groźbą dla żywiołu polskiego na tych ziemiach.

Stad przekonanie, że uwłaszczenie rozwiązało ostatecznie kwestię chłopską i o dalszym przejmowaniu ziem szlacheckiej przez chłopów mowy być nie może.

W „Nizinach” opisujących byt wiejskiego proletariatu — służby folwarczej, nakreślenie przejmującego obrazu bytowania tych nędzarzy nie powstrzymało jej od napiętnowania chłopskiego marzenia o własnej ziemi jako nienasyconej chciwości i skłonności do pieniędza. Orzeszkowa wierzyła, że sytuacja służby folwarczej winna ulec poprawie dzięki woli ziemian uświadomionych o swych obowiązkach społecznych — vide ideały Seweryna Zdrojowskiego czy Stefan Darnowskiego.

Że zaś życie wykazywało absurdalność tych solidarystycznych marzeń, więc w powieściach Orzeszkowej idealne dwory mają charakter mgławicowo — utopijny („Australczyk”, „Dwa bieguny”). W „Dziurdziach” uśmiewała Orzeszkowa dać obraz „wsi szczęśliwej”, w której ciemnota, przesady i niski poziom moralności są jedynym źródłem tragedii. Wiemy zaś już, na kogo składała odpowiedzialność za tę ciemnotę

Witold Warkalło

Reforma Ubezpieczeń Społecznych

Zapowiedziana przez czynniki miarodajne reforma ubezpieczeń społecznych budzi zrozumiałe zainteresowanie opinii publicznej. Chodzi przecież o urządzenie społeczne olbrzymiej doniosłości, w pełni już odbudowane ze zniszczeń wojennych, wykazujące wielką dynamikę rozwojową. Czyż nie jest znanym szybki wzrost liczby ubezpieczonych? W styczniu 1946 r. było ubezpieczonych 1.800.000, w rok później — 3.000.000, a w sierpniu 1947 r. ich liczba przekroczyła 3.500.000. Budżet ubezpieczeń społecznych w roku bieżącym wyniósł 22 miliardy zł., co stanowi 13% budżetu państwa. Na same renty (dla 415 tys. ubezpieczonych) wydaje Zakład Ubezpieczeń Społecznych 892 miliony złotych miesięcznie, a wydatkowane przez ubezpieczenie społeczne kwoty na leczenie ubezpieczonych i zasiłki chorobowe dla nich przekroczyły już sumę 900 milionów zł. miesięcznie (w miesiącu sierpniu 1947 r.).

Pomimo wydatkowania tak olbrzymich sum na świadczenia (dla ubezpieczonych) ubezpieczenia społeczne nie spełniają jeszcze w pełni swej roli, zarówno jeżeli chodzi o ich zakres osobowy, jak i wysokość świadczeń. Zaledwie 1/3 ludności kraju korzysta z ochrony ubezpieczeniowej, a ochrona ta winna być udziałem całego świata pracy, winni z niej korzystać wszyscy ci, którzy żyjąc ze swej pracy (a nie z kapitału) w przypadku utraty zdolności do zarobkowania (wskutek choroby, wypadku, inwalidztwa) tracą podstawy materialne swego bytu i swych rodzin.

W rozpisanej na temat reformy ankiecie wypowiedziały się szereg polityków społecznych, rzeczoznawców i uczonych, nadsyłając szczegółowo uzasadnione propozycje i uwagi w sprawie odnowy ubezpieczeń społecznych. Zamierzona reforma dotyczy przede wszystkim człowieka pracy, chodzi przecież o zabezpieczenie jego losu przed następstwami wydarzeń kleskowych, pozbawiających go zdolności do pracy, a tym samym — i zarobku. Słowo „prostego człowieka” będzie wysłuchane w Polsce Ludowej, która stawia sobie jako najwyższy cel, zapewnienie ludziom pracy pomysłnych warunków bytowania i odpowiedniej stopy życiowej.

Wielę polska winna mieć stanowisko wobec zamierzonych reformy. Fakt, że korzysta ona dotąd z dobrodziejstw ubezpieczenia społecznego tylko w minimalnym zakresie czyni jej zapotrzebowanie tym konieczniejszym. Na szeroką skalę zakrojona reforma ubezpieczeń przewiduje objęcie ochroną ubezpieczeniową grup dotąd z niej nie korzystających i być może uczyni zadość potrzebom ubezpieczeniowym wsi polskiej, o ile chłopci będą tego żądać.

POLSKI SYSTEM UBEZPIECZEŃ SPOŁECZNYCH

Zorganizowany już w okresie przedwojennym system ubezpieczeń społecznych obejmuje ubezpieczenia od czterech następujących kategorii wydarzeń losowych: 1) choroba i macierzyństwo, 2) wypadki w zatrudnieniu i choroby zawodowe, 3) inwalidztwo, starość i śmierć, 4) brak pracy. Obok wydarzeń losowych, powodujących utratę zarobku, główną przyczyną nędzy i niedostatku była liczne potomstwo, na którego utrzymanie zarobek pracownika nie wystarcza. Toteż z radością powitał cały świat pracy wiadomość o wprowadzeniu z dniem 1 stycznia 1948 roku ubezpieczenia rodzinnego, które ma zapewnić każdemu dziecku pracownika stały zasiłek w wysokości niezależnej od poziomu indywidualnego zarobku rodziców.

Zarówno nowowprowadzone ubezpieczenia rodzinne jak i istniejące już od lat rodzaje ubezpieczeń społecznych nie obejmują najliczniejszej grupy naszej ludności, warstwy samodzielnie gospodarujących rolników. Chłostwo polskie nie korzysta dotąd z dobrodziejstw ubezpieczeń społecznych, nie otrzymuje żadnych świadczeń, ani w wypadku choroby, ani macierzyństwa, nie pobiera rent emerytalnych na starość, ani w razie utraty zdolności do pracy wskutek nieszczęśliwego wypadku. Jedyny wyjątek stanowią drobni producenci rolni (właściciele, użytkownicy, dzierżawcy gospodarstw o obszarze mniejszym od 30 ha na terenie województw zachodnich, którzy korzystają z ubezpieczenia wypadkowego) na mocy Rozp. Prezidenta z 27 grudnia 1933 r. (Dz.U.R.P. Nr 102, poz. 793).

Podczas gdy chłopci są całkowicie pozbawieni dobrodziejstw ubezpieczeń społecznych (poza wyżej wspomnianym, terytorialnie ograniczonym wyjątkiem), to robotnicy rolni korzystają z nich, acz w znacznie mniejszym zakresie niż inni pracownicy najemni. Na całym obszarze kraju są oni objęci tylko ubezpieczeniem od wypadków i chorób zawodowych, a od 1 marca 1947 r. — także i ubezpieczeniem na wypadek choroby i macierzyństwa, narazie z wyłączeniem robotników rolnych, zatrudnionych w mniejszych gospodarstwach (o obszarze do 30 ha). Biorąc pod uwagę, że liczba robotników rolnych zmalała (głównie dzięki obdziałeniu ziemi ponad 100 tysięcy rodzin b. służby folwarcznej) do 2 15% ogółu ludności wiejskiej, trzeba raz jeszcze stwierdzić, że wieś polska tylko w minimalnym stopniu korzysta z ochrony ubezpieczeniowej.

Przed wojną pracownicy opłacali składki na ubezpieczenia społeczne, dziś są oni od wszelkich obciążeń z tego tytułu zwolnieni. Jak świadczą o tym dotychczasowe, fragmentarycznie wprowadzane zmiany w ustawo-

dawstwie ubezpieczeniowym, Polska odrodzona dąży nie tylko do objęcia ubezpieczeniami społecznymi jak najliczniejszych grup świata pracy, ale i do powiększenia zakresu udzielanych świadczeń.

CO DAJĄ UBEZPIECZENIA SPOŁECZNE?

Pracownicy najemni, nie wyłączając pracowników państwowych, otrzymują w razie choroby: 1) opiekę lekarską, leczenie szpitalne i sanatoryjne, położnice również pomoc położniczą, 2) lekarstwa, środki opatrunkowe, lecznicze i pomocnicze, 3) zasiłki chorobowe, zasiłek pogłowy, zasiłek dla karmiących matek, 4) zasiłek pogrzebowy w wypadku śmierci chorego. Przed wojną pracownik był obowiązany do pewnych opłat i pewnych dopłat w związku z leczeniem, obecnie jest on zwolniony od wszelkich obciążeń i korzysta z leczenia całkowicie bezpłatnego.

Gdy pracownik pada ofiarą wypadku lub choroby zawodowej i staje się całkowicie lub częściowo niezdolny do zarobkowania, otrzymuje tak zwaną rentę wypadkową w wysokości uzależnionej od stopnia utraty zdolności do pracy. Jeżeli utracił on co najmniej 2/3 swej zdolności do zarobkowania, to przysługuje mu ponad to dodatek na każde dziecko. W razie śmierci wypłaca się zapomogę pośmiertną lub odprawę jednorazową, a wdowa, sierota, niekiedy i dalsza rodzina uzyskują prawa do rent.

Gdy pracownik przebył w ubezpieczeniu przewidziany prawem okres czasu, a przytym osiągnął granicę wieku (zależnie od kategorii i płeć od 55 do 65 lat) albo stał się niezdolnym do zarobkowania wcześniej wskutek wypadku sił fizycznych lub umysłowych, to otrzymuje on rentę inwalidzką (lub starczą) i pomoc leczniczą. Po jego śmierci wypłaca się zapomogę pośmiertną lub zasiłek pogrzebowy, a wdowa, sieroty uzyskują rentę.

Gdy pracownik traci pracę wskutek bezrobocia, przysługują mu zasiłki. Dzięki zrealizowaniu przez Polskę Ludową zasad gospodarki planowej, bezrobocie nie grozi już światu pracy. W związku z tym przekształca się ubezpieczenie na wypadek braku pracy, na akcję przeszkolenia zawodowego, dzięki któremu pracownik może nauczyć się nowego fachu, a tym samym nie tylko uzyskać ponownie pracę, ale polepszyć swój byt.

Dzięki nowowprowadzonemu ubezpieczeniu rodzinnemu pracownik uzyska z Funduszu Ubezpieczeniowego zasiłek na każde dziecko, a także na żonę, nie pracującą zarobkowo. Pracodawca zwolniony od obowiązku wypłaty dodatków rodzinnych, będzie wypłacał pobor w równej wysokości wszystkim pracownikom, o równych kwalifikacjach i wydajności pracy, niezależnie od ich stanu rodzinnego. Nie będzie więc obawiał się zatrudniać pracowników obarczonych liczną rodziną — ich szanse uzyskania pracy nie będą więc gorsze od szans pracowników samotnych, jak to było dotąd.

Krótko mówiąc ubezpieczenia społeczne mają zapewnić „chleb powszedni” dla pracownika i jego rodziny mimo, że wskutek nieszczęść losowych utracił on prawo do zarobku, a tym samym odpadła normalna podstawa bytu: wynagrodzenie za pracę. Ani choroba, ani wypadek, ani inwalidztwo, czy starość niezdolność do pracy nie rzucą rodziny pracowniczey w otchłań nędzy. Pracownik może śmiało założyć rodzinę, bo wie, że jak z jednej strony Polska Ludowa dba o los jego dzieci, zapewniając wypłatę zasiłków rodzinnych, tak z drugiej żadne nieszczęście losowe nie pozbawi go, ani jego rodziny środków do życia.

Ubezpieczenia społeczne stanowią dobrodziejstwo nie tylko dla tych, którzy utracą zarobek wskutek choroby, wypadku lub bezrobocia, ale i dla tych, których nieszczęścia te ominęły. Ubezpieczenia dają bowiem wszystkim ubezpieczonym pewność, że ich byt materialny nie będzie zniszczony przez przeciwności losowe i pozwalają śmiało, z ufnością patrzeć w przyszłość. Poczuć bezpieczeństwa jest zaś nie mniej ważne, niż same ubezpieczenie.

DLACZEGO CHŁOPI NIE SĄ OBJĘCI UBEZPIECZENIEM SPOŁECZNYM

Czytelnikowi nasunie się pytanie, dlaczego chłopci nie korzystają z dobrodziejstw ubezpieczenia społecznego? Czyżby to był po prostu jeden z przejawów zacofania cywilizacyjnego wsi polskiej? Może chłopci nie jest potrzebna ochrona ubezpieczeniowa? Czy nie może on się bez niej obywać, tak jak obywateli bez oświetlenia elektrycznego, bez kanalizacji, gotowania na gazie, bez kina i innych udogodnień życia miejskiego?

Fakt, że chłopci polscy pozostali poza wielką wspólnotą ubezpieczeniową, jest niewątpliwie na równi z pierwotnymi metodami gospodarki rolniej (opartej na wysiłku fizycznym rolnika i jego szkapiny, jako jedynej siły pociągowej), jednym z dowodów zacofania rozwojowego wsi polskiej, ma jednak swe uzasadnienie, zarówno historyczne jak i koncepcyjne.

Ubezpieczenia społeczne są zdobyczą klasy robotniczej, wynikiem wieloletniej walki robotników przemysłowych o poprawę i zabezpieczenie ich bytu. Robotnicy wywalczyli dla siebie ochronę ubezpieczeniową, było to pierwsze poważniejsze ustępstwo na rzecz pracy ze strony kapitału, który ludził się, że w ten sposób postawi tamę rozwojowi socjalizmu.

Obok tej przyczyny historycznej istnieje po dziś dzień druga, koncepcyjna: ubezpieczenia

społeczne uważa się, za urządzenie dla pracowników najemnych, a chłop „na swoim pracuje”. Prawda, chłop pracuje na swym własnym zagonie, nie chodzi na robotę do cudzego warsztatu pracy, ale czyż wyłącza się przez to ze świata pracy, czyż jego sytuacja materialna jest lepsza, a jego poziom życia wyższy niż robotnika fabrycznego, lub innych ubezpieczonych? Trudno przyrównywać chłopów do kupców, drobnych przedsiębiorców i przemysłowców, przedstawicieli wolnych zawodów (lekarzy, adwokatów, artystów), których również wyjęto spod obowiązków ubezpieczeń społecznych. Prawda, chłop na równi z nimi ma swój warsztat: pracuje na swej roli, nikt go do tej pracy nie zaangażował, nikt go nie dozoruje, wschody i zachody słońca, przyroda regulują czas jego pracy, a niekiedy udzielają mu „bezpłatnych urlopów”. A jednak chłop polski nie jest przedsiębiorcą — jest on raczej pracownikiem na roli, robotnikiem tej wielkiej „fabryki chleba”, tej ziemi, zroszonej jego potem, użyźnionej jego pracą.

Hasło solidarności robotniczej — chłopskiej nie jest pustym frazesem. Wyraża ono wspólnotę doli chłopskiej i robotniczej. Ani robotnik, ani chłop, walcząc z niedostatkiem, nie są w stanie o własnych siłach opłacać leczenia w razie choroby, ponosić koszty kształcenia dzieci i zapewnić sobie spokojną starość. Chłop jest wprawdzie właścicielem swej gospodarki, ale nie jest kapitalistą, żyjącym z procentów od kapitału. Osiągany przez niego płon jest nie dochodem z majątku, a jakby wynagrodzeniem za pracę, i to za pracę, wymagającą wielkiego wysiłku i trwającą od świtu do nocy.

W systemie kapitalistycznym jedną z najważniejszych różnic pomiędzy sytuacją chłopca a robotnika było to, że chłop zawsze miał pracę, natomiast robotnikowi groziło ryzyko bezrobocia. Dzięki systemowi gospodarki planowej, zrealizowanemu w demokratycznej Polsce, zaciera się ta różnica, gdyż Państwo zapewnia pracę każdemu.

ODREBNOSĆ ZAPOTRZEBOWANIA UBEZPIECZENIOWEGO WSI POLSKIEJ

Nie ulega wątpliwości, że ubezpieczenie na wypadek choroby i macierzyństwa oraz ubezpieczenie od wypadków, są warstwie chłopskiej niemniej potrzebne niż pracownikom, zatrudnionym w mieście. Sytuacja materialna właściciela małej gospodarki chłopskiej nie jest bynajmniej lepsza od sytuacji większości pracowników, objętych tymi ubezpieczeniami a o gotówkę na wsi trudniej. Koszty leczenia odstrasza chłopca od zasięgania porad lekarskich i od poddawania się kuracji, tym więcej, że udawanie się w tym celu do miasta powoduje stratę czasu, na którą niezawsze może on sobie pozwolić. Korzyści dla zdrowia, wynikające z przebywania na świeżym powietrzu, z regularnego trybu życia wiejskiego, z prostego, przeważnie roślinnego lub na nabiale opartego odżywiania i „kuchni domowej”, są niestety niwelowane przez niehigieniczne warunki życia wiejskiego, brak uświadomienia w sprawach zdrowia i dbałości o nie. O niehigienicznych warunkach bytowania chłopskiego świadczy najlepiej przerażająca wprost śmiertelność niemowląt na wsi (w wieku do lat 4 umiera na wsi 37,4% dzieci), kilkakrotnie przewyższająca śmiertelność w mieście. Jeżeli chodzi o wypadki przy pracy, to zdarzają się one bez porównania częściej niż przy pracy w biurach, a nawet w niektórych zakładach przemysłowych. Wcześniej czy później cała wieś, a nie tylko robotnicy rolni, musi być objęta ubezpieczeniem od wypadków i chorobowym.

Nieco inaczej przedstawia się problem chłopskiego ubezpieczenia emerytalnego t.j. na wypadek inwalidztwa, starości i śmierci. Właściwym żywicielem rodziny chłopskiej jest bowiem nie ojciec, ale sama ziemia, na której cała rodzina chłopska pracuje. Jeżeli nieurodzaj, katastrofa suszy, powodzi czy klęska zarazy roślinnej lub szkodników nie zniszczy plonu, albo pomór nie wygubi żywego inwentarza, to byt rodziny chłopskiej będzie zapewniony. Wie o tym chłop polski z doświadczenia minionych pokoleń i nie troszczy się o to, żeby zostawić żonę i dzieciom innego zabezpieczenia niż samą gospodarkę, niepomniejszoną co do obszaru i w stanie jak najlepszym. Nie ma on w sobie nic z mentalności farmera amerykańskiego, który pragnąłby na starość zamieszkać w mieście i żyć z nagromadzonych oszczędności czy z ubezpieczonego kapitału. Nie pragnie on dla siebie renty starczej czy inwalidzkiej, ani nie myśli o uzyskaniu dla wdowy czy sieroty renty na wypadek swej śmierci. Nie interesuje go społeczne ubezpieczenie emerytalne podobnie, jak nie interesuje go prywatne — prawne ubezpieczenie na dożycie lub na wypadek śmierci. Chłop polski widzi przed sobą inne cele życiowe, cele o większym gospodarczo-społecznym znaczeniu.

Chłop polski uważa za swe dwa naczelné zadania życiowe: 1) utrzymać w swym ręku dziedziczną gospodarkę, doprowadzić ją do jak najlepszego stanu i niepomniejszoną przekazać swemu następcy, 2) zapewnić byt wszystkim swym potomkom, którzy muszą opuścić ojcowiznę i stworzyć sobie sytuację życiową poza rodzinną zagrodą. Spełnienie tych zadań częstokroć przerasta siły gospodarza, wymaga bowiem niestrudzonej pracy całego życia; systematycznej kapitalizacji, celem zebrania środków pieniężnych na spłatę spadkowe wszystkich potomków, wyłączo-

nych od spadkobrania w naturze oraz na ich wykształcenie fachowe i wyposażenie. Konkretnie mówiąc chodzi o danie fachu do ręki chłopcom i dziewczętom, idącym do miasta na pracę w przemyśle, rzemiośle, na urządzie, o wyposażenie córek, wychodzących za mąż na wsi, a jednocześnie zapewnienie im wszystkim zachowku t.j. wymaganego przez prawo udziału ze spadku.

Ten tak pojęty program życiowy polskiego chłopca nie wynika bynajmniej z poczucia jakiegoś mistycznego obowiązku wobec minionych i przyszłych pokoleń, wymagającego przekazywania swemu następcy pełnej spuścizny, odziedziczonej po rodzicach. Niema w nim także żadnej dowolności — jest to po prostu konieczny wniosek, wynikający z właściwej oceny potrzeb gospodarki rolniej i z zasady dziedziczenia, przyjętych przez prawo spadkowe.

Gospodarka chłopska z ledwością wystarcza jako baza wyżywienia dla jednej rodziny, przeto może na niej pozostać tylko jeden syn spadkodawcy jako dziedzic. Jego bracia i siostry powinny zadowolić się zachowkiem t.j. połową tego, co otrzymaliby w przypadku równego podziału majątku spadkowego (przy dziedziczeniu beztestamentowym). Gdyby ojciec, nie troszcząc się o zachowanie gospodarki w niepomniejszonym obszarze chciał podzielić ją pomiędzy swe dzieci, to i wtedy byłoby to niemożliwe. Prawo, ze zrozumiałych względów ochrony produkcji rolnej, nie dopuszcza do powstawania nowych gospodarstw karłowatych w drodze działów rodzinnych i zezwala na podział nieruchomości wiejskiej tylko pod warunkiem „żywności gospodarstw”, mających powstać w jego wyniku (art. 35 § 2 dekretu o postępowaniu nie-spornym w zakresie prawa rzeczowego i art. 147 § 2 dekretu o postępowaniu spadkowym, oba akty ustawodawcze z 8 listopada 1946 r.). Do tego samego celu zmierza przepis art. 13 dekretu z 6 listopada 1946 r. o przeprowadzeniu reformy rolnej, zakazujący podziału gospodarstw, utworzonych w wyniku przebudowy ustroju rolnego.

Konieczność dokonania spłat rodzinnych narzuca chłopcu obowiązek systematycznego oszczędzania celem zebrania sum, niezbędnych na wypłacenie zachowków. Jest to dla gospodarki chłopskiej, przy jej małej rentowności, bardzo ciężkie zadanie, wymagające dwudziestu — trzydziestu lat nieprzerwanej kapitalizacji. Niemniej trudnym jest „oderwanie się od roli” młodzieży chłopskiej, omieszczającej ojcowiznę, tym trudniejsze zadanie, że dziewczęta nie zadowolą się już dzisiaj posadą „służącą do wszystkiego” a chłopcy sytuacją dozorcy domowego czy niewykwalifikowanego robotnika. Chłop pragnie, aby zatrudnienie jego dzieci w nowym, zazwyczaj t. zw. miejskim zawodzie było dla nich pewnym awansem społecznym.

Tymczasem przygotowanie fachowe dziecka wsi do pracy w takim „miejskim” zawodzie, pomimo zasady bezpłatności nauki, powoduje obciążenia finansowe, którym trudno sprostać, a także usamodzielnienie się w rzemiośle i handlu wymaga środków, przerastających skromne, chłopskie możliwości.

Ten „program życiowy” chłopca polskiego jest niezwykle trudny do wykonania. Wiele rodzin chłopskich potrafi go urzeczywistnić (kosztom wielkich ograniczeń, wyrzeczeń i samozaparcia, za cenę obniżenia swej stopy życiowej do minimum egzystencji), ale jeszcze więcej nie jest w stanie tym ciężkim zadaniem poddać. Pełne i powszechne zrealizowanie obu punktów tego programu (utrzymanie niepodzielności gospodarki, stworzenie egzystencji dla opuszczającej ją młodzieży, nie da się osiągnąć w drodze niezorganizowanego, indywidualnego oszczędzania. Z uwagi na wielką społeczno-gospodarczą doniosłość utrzymania zdrowej struktury własności rolnej i zapewnienia dopływu pełnowartościowego, fachowo przygotowanego elementu chłopskiego do produkcji przemysłowej i „zawodów miejskich”, Państwo winno dopomóc chłopcu w realizacji jego „programu życiowego”. Pomoc ta mogłaby wyrazić się w zorganizowaniu Funduszu Ubezpieczeniowego, finansującego spłaty rodzinne po śmierci spadkobiercy lub wypłacającego odnośne kwoty wcześniej, za życia oica, w formie pokrywania kosztów wykształcenia fachowego dzieci chłopskich, mających opuścić ojcowiznę. Tego rodzaju inicjatywa czynników miarodajnych spotkałaby się ze zrozumieniem chłopstwa polskiego, wśród którego kiełkuje już myśl wzajemnych chłopskich ubezpieczeń osobowych, mających ułatwić spłaty rodzinne*).

Szeroko zakrojone prace przygotowawcze do reformy ubezpieczeń społecznych, projekty objęcia nimi wsi polskiej pozwalają zwiedzić nadzieję, że i szczególne zapotrzebowanie ubezpieczeniowe chłopca polskiego będzie z uwagą rozpatrzone. Być może znajdzie się sposób dopomożenia chłopcu przy realizacji jego „programu życiowego” przez zorganizowanie Funduszu Spłat Rodzinnych i Wykształcenia Fachowego, opartego na podstawie ubezpieczenia społecznego chłopów polskich, które łączyłoby elementy życiowe ubezpieczenia ludowego z idea wyposażenia i fachowego wykształcenia młodego pokolenia chłopskiego.

*) Zob. artykuł M. Kokoszkiewicza o ubezpieczeniach wzajemnych w „Myśli chłopskiej” nr. 3 z 10.1947 r. str. 66—73.

Jan Zieliński

Na front walki z analfabetyzmem!

Na podstawie spisu ludności z 1921 roku (por. Rocznik Statyst. z 1925 r.) mieliśmy w Polsce 6.581.307 analfabetów w wieku ponad 10 lat życia, co stanowiło wówczas 32,7 proc. ludności, nie licząc dzieci poniżej lat dziecięci.

W roku 1939-tym analfabeci stanowili 22 proc. powyżej 10 lat życia. Było to znacznie mniej w porównaniu ze stanem z roku 1921-go, ale jakże jeszcze dużo, gdy zestawimy te dane z sytuacją w Związku Radzieckim, gdzie w tym czasie analfabetyzm zdołano niemal zupełnie zlikwidować, lub z państwami zachodnimi, gdzie problem analfabetyzmu nie istniał już dawno.

Brak nam dokładnych danych, jak się obecnie sytuacja przedstawia pod tym względem, gdyż szczegółowy spis ludności jest jeszcze przed nami, ale i z tych danych, które posiadamy, możemy wyciągnąć pewne wnioski.

Ministerstwo Oświaty przed paru miesiącami zleciło Kuratorium Szkolnym przeprowadzenie w swych okręgach orientacyjnych spisów analfabetów poprzez kierownictwa szkół powszechnych. Akcja z braku odpowiednich funduszy, a może jeszcze bardziej z nieodpowiednio dobranego czasu (czerwiec lub wrzesień, gdy kierownicy szkół byli najbardziej zaabsorbowani pracą organizacyjną i egzaminami w szkołach) nie została dobrze rozwiązana. Tym nie mniej liczby uzyskane mają swoją wartość i swoją wymowę.

Oto przykład. W Kuratorium Kieleckim najdokładniej spisy przeprowadzono w powiecie opatowskim. Na 156 tysięcy mieszkańców naliczono około 23 tysięcy analfabetów w wieku od 14 lat życia wzyzy; w tym od 14 do 45 r. życia jest — 11 tysięcy a powyżej 45 r. — 12 tysięcy. (Powiat przyczółkowy — większość gmin zniszczona działaniami wojennymi).

Gdybyśmy przyjęli, że o wiele lepszy stan rzeczy panuje na terenie całego województwa, to się okaże, że w województwie kieleckim liczącym ogółem 1.717.672 mieszkańców w/g spisu z 1946 r. liczba analfabetów wynosi blisko 200 tysięcy, co stanowi około 12 proc. ogółu ludności. Z liczby tej na wiek od 14 — do 45 r. przypadałoby około 90 tysięcy a powyżej 45 r. życia — 110 tysięcy.

W skali ogólnokrajowej przy powyższym obliczeniu liczba analfabetów może przekroczyć dwa miliony.

Jest to liczba przerażająca.

A teraz zastanówmy się, jak się przedstawia akcja likwidacji analfabetyzmu. Krótko mówiąc, niezwykle ciężko, gdyż przynajmniej trzeba, jest to najtrudniejszy problem do rozwiązania na odcinku oświaty dorosłych.

Wystarczy sięgnąć znów do liczb. W dniu 31.1.1946 r. w całej Polsce było 495 kursów stopnia I-go (dla analfabetów i półanalfabetów), a liczba uczestników na tych kursach wynosiła 13.610. Wszystkich uczących się na kursach dla dorosłych (poza szkołami powsz. dla dorosłych) było 190.889 osób. Wobec po-

wyższego analfabeci stanowili zaledwie około 7 proc. z ogółu uczących się na kursach dla dorosłych.*)

Min. Oświaty wszystko robiło, by nauka obłą jak najwięcej właśnie analfabetów.

Weźmy jako przykład znów Kielecczynę.

W roku 1945/46 na ogólną liczbę kursów dla dorosłych 399 było — 2 dla analfabetów. Łączna liczba słuchaczy wynosiła na nich 30 osób! W roku 1946/47 przy 175 kursach ogółem, dla analfabetów było — 17. Ogólna liczba słuchaczy 259, zaś w roku bieżącym, na 200 kursów dla dorosłych — kursów stopnia I-go (dla analfabetów) wraz z klasami I-szymi w szkołach powszechnych dla dorosłych jest 32. Ogólna liczba słuchaczy na tych kursach — 798. Liczba ta stanowi około 0,7 proc. analfabetów w wieku 14 — 45 lat mieszkających w Kielecczyźnie.

Z tych kilku liczb widzimy, że w ostatnim roku liczba kursantów dla analfabetów prawie podwoiła się, ale mimo to jakże przerażająco mała liczba analfabetów znalazła się przy stoliku nad książką i zeszytem.

Trzeba przy tym bestronnie zaznaczyć, że wysiłek inspektorów szkolnych i nauczycielstwa w tym kierunku był duży. Świadczy o tym choćby fakt, że mimo zmniejszonych kredytów ze strony Państwa, ogólna liczba kursów wzrosła w porównaniu z rokiem poprzednim.

W skali ogólnokrajowej sytuacja przedstawia się niewiele lepiej. O czym to świadczy? I jak szukać wyjścia?

Świadczy to przede wszystkim o tym, że zagadnienie likwidacji analfabetyzmu jest zjawiskiem złożonym i niezwykle trudnym do rozwiązania.

Rozważmy kilka trudności najbardziej rzucających się w oczy. Pierwsza trudność wynika stąd, że analfabeci w ogromnej masie nie czują swego kalektwa. Nie garną się do szkół, nie pragną jak najprędzej posiadać wielkiej tajemnicy słowa drukowanego czy pisanego. Czy to ich wina? Sądzić tak — byłoby zbyt powierzchownie. Przyczyny tego stanu rzeczy sięgają głęboko w strukturę społeczną środowiska, z którego rekrutują się analfabeci. Np. na wsiach (analfabetyzm gnieździ się przede wszystkim na wsiach) oni stanowią element najmniej ruchliwy. Stoją na uboczu i tak mało ożywionego życia społecznego, politycznego czy gospodarczego. Ich aspiracje są minimalne. Najczęściej nie przekraczają dążeń koniecznych do biologicznego zachowania życia. A powszechność analfabetyzmu przyczynia się do tego, że osobnicy nie umiejący czytać i pisać nie odczuwają osobiście z tego tytułu np. poczucia niższości, nie kępią się tym brakiem, nie czują najmniejszego wstydu czy zażenowania z tego powodu. W ich pojęciu (najczęściej) nie wpływa to na „karierę” życiową. Przeciwnie należałoby mu od ojca w spadku 2 — 3 morgi i tak każdy dostanie i tak będzie na nich gospodarował, jak gospodarzy ojciec, czy jak kiedyś czynił to dziad lub pradziad.

*) Por. Szkolnictwo w liczbach 1945/46 r. W-wa 1946 str. 74 PZWS.

A inna trudność? Po doświadczeniach wielu lat pracy na tym odcinku można zdaje się ryzykować twierdzenie, że likwidacja analfabetyzmu nie może, w dzisiejszych szczególnie warunkach, spoczywać wyłącznie na barkach nauczycieli szkół powszechnych. Dotychczas niestety tak bywało.

Obecnie nauczycielstwo samo tej akcji nie przeprowadzi. Z wielu przyczyn. Między innymi dlatego, że jest wyjątkowo przepracowane w szkole. Niemał z reguły każdy nauczyciel uczy w wymiarze od 8 — 10 godzin dziennie. Czyż może jeszcze zająć się pracą inną, pracą szczególnie trudną, do jakich niewątpliwie należy już sama akcja „ściągnięcia” analfabetów do szkoły? A potem, czy może ich uczyć, jeśli nawet znajdzie jeszcze trochę siły i czasu, przy swoich nikłych poborach, bezpłatnie lub z płacą niedostateczną? Bo analfabeci, nie rozumiejąc najczęściej potrzeby nauki, nie chcą lub nie mogą płacić za naukę. A ilu jest nauczycieli niekwalifikowanych, którzy po uciążliwych zajęciach rannych muszą długo wieczorami ślepieć nad książką, aby zdobyć kwalifikacje? A ilu jest takich, którzy od paru lat winni odejść na zasłużoną emeryturę?

Trzeba szukać innego wyjścia. Przynajmniej trzeba, że w tej chwili wkraczamy pod tym względem, choć nieśmiało na nowe tory!

Dzięki np. uślisnym staraniom administracji szkolnej akcją powyższą na terenie całego kraju coraz więcej interesują się samorządy, a szczególnie Rady Narodowe. Oto znów przykład z terenu Kielecczyzny: W roku 1947 na kształcenie dorosłych poza akcją biblioteczną, która pochłonięta blisko 18 mil. zł., Rady Narodowe gminne, powiatowe i wojewódzkie wydały prawie 2 mil. zł. Jest to stosunkowo dużo, zważywszy słabą aktywność samorządów w latach przedwojennych.

A w roku 1948 we wszystkich budżetach gminnych i powiatowych przewidziane są kwoty, które poważnie wpłyną na rozwój akcji kształcenia dorosłych. Tak np. w niewielkim powiecie włoszczyńskim uchwalono asygnować 800 tys. zł. na kształcenie dorosłych, a w powiecie opatowskim aż 2 mil. zł. Wojewódzki Wydział Samorządowy wstawił 1 milion zł. na kursy dla dorosłych. Ale i to wszystko jeszcze kwestii nie rozwiązuje. To skromny przyczynek do likwidacji wielkiej bolączki. Bowiem walka z analfabetyzmem musi być podjęta na szerokiej płaszczyźnie, bezkompromisowo, przez całe zorganizowane społeczeństwo, jako walka ostateczna, prowadząca w szybkim tempie do zwycięstwa.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć w tym miejscu o dotychczasowych poczynaniach na froncie likwidacji analfabetyzmu. Oto przed paru miesiącami TUR, wielce zasłużony na polu szerzenia oświaty i kultury, zorganizował konferencję poświęconą walce z analfabetyzmem. Zważywszy dobór uczestników sądzić należy, że konferencja ta nie zostanie bez echa, że spowoduje większe zainteresowanie się komórek terenowych TUR kształceniem analfabetów.

działaniem sprzecznym z tym przepisem, obciążającym rodziców zarzutem bezprawia. A to wynika znów z art. 20 § 3 prawa rodzinnego, który nakazuje, aby rodzice sprawowali swą władzę tak, jak tego wymaga dobro dzieci i interes społeczeństwa.

Obydwa te czynniki zawsze uzupełniają się nawzajem a utożsamiają wielokrotnie. Ich pojęcie wszakże jest nawskroś nowoczesne, obce jeszcze XIX-towiecznemu pojmowaniu rodziny, cechującej się wszechwładzą rodziców — a zwłaszcza „suwerennego” ojca — w zakresie opieki nad dziećmi na terenie „domu”, twórców izolowanych w słabszym lub mocniejszym stopniu od życia społecznego. Normy konwencyjonalnej moralności łagodziły ówczesny stan prawny tylko nieznacznie, omijając klasę chłopską z zupełnością.

I dlatego np. nie raziło nikogo już długo po pańszczyźnie, że „okólniki” do wypasania dworskich świń przez parobczyków „pasturków” zawsze rozplanowywano tuż w kręgu dworskich karczem. Wytańcowały te dzieci od najmłodszych napierw pod oknami arendy, pod karczemną muzykę, zaprawiały się w oberkach a równocześnie do przyszłego pijaństwa, warunkującego przebywanie w karczmie („konsumpcja obowiązująca”).

Ten drastyczny przykład winien dobrze uźmyslać, jak nową jest idea powszechnie rozumianego dobra dzieci i obiektywnego interesu społecznego przenikająca nowoczesne ustawodawstwo.

Stare prawo, vegetujące tu i owdzie po dziś dzień znało w to miejsce elastyczności i ruchomości czynnik „dobrej wiary” i „staranności”, dopasowywany w miarę potrzeby komu trzeba i nie trzeba — „dobrym ojem rodzin”, „starannym kupcom”, „starannym kapitanom statków” itp., co w żadnym razie nie realizowało sprawiedliwości społecznej, choćby w minimalnej skali, a tylko pozwalało siedzieć w wypadkach sporu łatwiej konstruować między kolidującymi interesami stron procesowych tzw. prawdę formalną, obcą dzisiejszym wyobrażeniom o sprawiedliwości społecznej. Na tę właściwość wcześniejszych kodeksów cywilnych zwrócił pierwszy uwagę Karol Marx, atakujący namiętnie ową tradycyjną „architektonikę prawa cywilnego”, opartą o wywody prawników rzymskich, rozwijających systematycznie mnóstwo za-

Od szeregu tygodni Stronnictwo Ludowe prowadzi ciekawą akcję czytelnictwa prasy wśród swych członków z dość znacznymi wynikami. W numerze 47 z dn. 7.12.1947 r. we „Wsi” — naczelny redaktor, J. A. Król, ogłosił list otwarty do Prezesa Z.M.W. R. P. — „Wici” pt. „Zadanie dla Wiciarzy” w którym między innymi pisze:

„Analfabetyzm musi... zginąć. Jego trwanie bowiem oznacza życie setek tysięcy poza narodem co gorsza, poza nową, Ludową Polską. Polska Ludowa, to Polska, w której lud dowiaduje się o szansach lepszego jutra, dalszych, bliższych, pośrednich, bezpośrednich i skoro wie, działa i stwarza je sam dla siebie. Kto może być nauczycielem w tym pierwszym okresie podnoszenia się z ruin ciemnoty? Każdy, kto może wstrząsnąć choćby kilku ogniwami w łańcuchu mas, w którym przez dziesiątki lat wytłono nadzieję lepszego jutra dla siebie i dzieci”.

W końcu J. A. Król proponuje, by Koła Wiciowe zajęły się walką z analfabetyzmem. „Wici” mogą wystawić według redaktora Króla przynajmniej 50 tys. armię, która pójdzie w sukurs nauczycielom.

Ale warunek, że w tej akcji wezmą udział nie tylko Wiciarze — samotni, jak dotychczas nauczyciele, ale podejmą się tej pracy wszyscy wspólnie, nauczyciele i Wiciarze, ZWM-owcy i OM TUR, Zarządy Kół Str. Lud. i Komitety Partii Robotniczych oraz gminne i powiatowe Komisje Oświatowe przy Radach Narodowych.

Dziś łatwiej jest żyć, ale tylko tym, którzy umieją z dorobku kultury korzystać samodzielnie. Czas ucieka. Każda chwila stracona w likwidacji analfabetyzmu, to mniejsza wydajność zboża z ha, to mniejsza produkcja artykułów spożywczych, to gorsze warunki życia pracownika biurowego w Państwie, to mniejsza wydajność pracy górnika w kopalni.

W OSTATNIM 2 (131) NUMERZE „WSI” z dnia 11 stycznia 1948 r.:

Witold Jedlicki — Katolickie koncepcje ustrojowe; W czwartą rocznicę Krajowej Rady Narodowej; Jerzy Nofer — Choroby i leczenie — metody; Mieczysław Piszczkowski — Geneza literatury o wsi polskiej; Wiktor Woroszyński — Repatriacja — O rówieśnikach krótko (wiersze); Maurycy Jaroszyński — Samorząd w Demokracji Ludowej; Tadeusz Chrościelewski — Szkicownik partyzanta; Lech Budrecki — Na to Csa?; Jacek Bocheński — Widowiska; „Życie i praca pisarza”; Jan Bolesław Ozóg — Autentysta; Serweryn Skulski — Nie „łapi” — chłop!; Ze sztabucha kultury ludowej; Józef Pogan — Dwie postacie; Fakty i zdania; Krzysztof Martyniński — Monachium, Antwerpia, Blum; Jonatan Remember — Brytyjska pamięć; St. Wyka — List świąteczny od Starosty Stopnickiego; J. Palenciak — Panowie szlachta i konne tramwaje; Paulina Czyżowa — Wychowanie społeczniające; Józef Kościelniak — Urojone niepokoje; 5 ilustracji, 8 stron.

Jerzy Palenciak

Dziecko w rodzinie chłopskiej

Nasze nowe prawo rodzinne przypominając na początku, czym jest pokrewieństwo a czym powinowactwo, ustala zasady obowiązku alimentarnego. W dalszym ciągu traktuje o dzieciach z małżeństwa i dzieciach pozamałżeńskich oraz o przysposobieniu czyli adopcji. Postanowienia składające się na to prawo nie wykazują na ogół nic takiego, co odbierałoby im cechę powszechności i skłaniało do spostrzeżeń, że odnoszą się one bardziej do jednego, a mniej do innego środowiska.

Należy jednak zatrzymać się nieco dłużej przy przepisach o stanowisku prawnym dzieci, ponieważ przepisy te są często nowością w porównaniu z odpowiednim prawem obowiązującym u nas poprzednio. Jeden nawet z tych przepisów sprawia wrażenie, jakby wyłącznie stosował się do rodziny chłopskiej z pominięciem rodziny robotniczej, nie mówiąc już o stosunkach mieszczańskich.

I tak artykuł (w skrócie: art.) 18 paragraf (znak: §) 2 prawa rodzinnego głosi, że dziecko które pozostaje we wspólnocie rodzinnej na utrzymaniu rodziców ma obowiązek świadczenia usług we wspólnym gospodarstwie.

Czym jest takie świadczenie usług w rodzinie mieszczańskiej — dobrze wiadomo, gdzie wspólne gospodarstwo sprowadza się nadal do tworzenia nie tyle ekonomicznego ile społecznego, socjologicznego, zwanego powszechnie „dobrą rodziną”, czy też „dobrym domem”, w którym „usługi” są wyłącznym niemal udziałem służby domowej, co w rodzaju nowoczesnych operac servorum (posług niewolniczych). Ta organizacja rodziny mieszczańskiej, jeżeli nawet nie występuje powszechnie, jest ideałem do którego tam się dąży i którego pragnie, a ostatecznie marzy się o nim. Wypada wszakże spodziewać się, że szybko postępujące w tej chwili procesy różnicowania w zawodowej strukturze warstw chłopskiej sprawią niebawem, iż brak podaży rąk na giełdzie służby domowej już wkrótce odbierze rodzinie mieszczańskiej arystokratyczne piętno „dobrej”. Za tym przyjdzie bez wątpienia dezorganizacja jej

tradycyjnej postaci i konieczność przekształceń, z szeregiem różnorodnych problemów do rozwiązania. Ale nie o tym tutaj.

Świadczenie usług dziecka w gospodarstwie rodziny robotniczej to znów działalność bez charakteru gospodarczego, lub o takim charakterze lecz w stopniu nieznacznym, jak nieznaczące są dla prawa czynności małych chłopów i dziewcząt, kupujących w sklepiku żywność co rano, dla wyręczenia zajętej przy garnkach matki.

Pozostaje teraz najistotniejsze zagadnienie, a mianowicie zagadnienie usług dziecka chłopskiego we wspólnym gospodarstwie; gospodarstwo to wyobraża mniej „dom”, przyszlisko, a więcej samo „gospodarstwo”, zespół środków produkcji.

Prawo powiada: „dziecko, które pozostaje we wspólnocie rodzinnej na utrzymaniu rodziców ma obowiązek świadczenia usług we wspólnym gospodarstwie”. W interesującym nas przypadku „dziecko”, to nie tylko pachole albo dziewczynka, lecz także dorosły kawaler i dorosła panna, nieusamodzielnieni ekonomicznie, utrzymywani przez „starych” rodziców, pozostający we wspólnocie rodzinnej. Ich obowiązek świadczenia tego rodzaju usług jest pod każdym względem oczywisty. Orzą więc i sieją, młócą oraz oporządzają w stajni i oborze, gotują i piorą, pracują tak jak ich rodzice, a może więcej nawet, podług miary młodzieńczej siły.

Zgodnie z prawnym, lecz wcale nie dobrym obyczajem chłopskim, posługi dziecka zaczynają się prawie od kołyski. A więc pascenia gęsi, z kolei świń, krów. Do dziś jeszcze wzorem chłopskiego dziecka do naśladowania jest dziesięcioletni malec orzący „do zagonu” a nie zaledwie „w podorywkę”, idący do szkoły późno po kopaniu, w listopadzie, rozpoczynający ferie letnie wczesną wiosną, z pierwszym wygnaniem bydlą z obory.

Jednak w ten sposób pojęte „posługi chłopskiego dziecka” wykraczają daleko poza ośnowę omawianego tu przepisu, zawartego w art. 18 § 2 prawa rodzinnego. Mało, są one

sad prawnych, właściwych gospodarstwu wielokapitalistycznemu, nieuspołecznionemu i antyspołecznemu.

„Dobra wiara” kapitalistów i liberałów XIX wieku pozwalała zatrudniać w przemyśle dziesięcioletnie dzieci przy obracaniu kół napędowych tkalni, po 12 godzin na dobę. Ich „staranność” w dopełnianiu umów robotniczych z dziećmi nie wykraczała poza przestrzeganie zasady, że w imieniu dziecka — robotnika winien zawsze występować ojciec. O elemencie „dobra dzieci” i „interesu społecznego” sniło się co najwyżej światłym rewolucjonistom tej epoki.

W Polsce liberalistyczny kapitalizm należał do przeszłości, przemysł dzieci nie zatrudnia, zatrudnia je natomiast gospodarstwo chłopskie, w bardzo szerokim rozmiarze, czego też nie daje się uniknąć obecnie.

Istnieje powiedzenie że połowę majątku chłopca stanowią jego dzieci. Chłop bezdzietny jest gospodarzem upośledzony w porównaniu do innych.

W tym układzie widać niezawodnie, że tylko w wypadkach wyjątkowych usługi własnego nieletniego dziecka chłopca, we wspólnym chłopskim gospodarstwie, nie będą przeszkadzały mu w nauce, nie będą opóźniały i utrudniały jego rozwoju umysłowego oraz fizycznego itd. To samo odnosi się do drugiego elementu prawa chroniącego osobę zapracowanego dziecka t.j. do interesu społecznego.

Jedynym wyjściem z tego układu stosunków byłoby zastąpienie pracy dzieci własnych pracą dzieci najemników. Lecz to rozwiązanie musi być uznane za nie mniejsze zło niż tamto. Na dłuższy dystans nie dałoby się utrzymać z przyczyn wyjaśniających zaniek instytucji służby domowej w miastach polskich.

Zagadnienie usług dziecka w gospodarstwie chłopskim rozwijać powoli lecz konsekwentnie samo życie, dzięki postępowi spółdzielczości na wsi, technizacji produkcji rolnej i dzięki zreformowaniu szkolnictwa podstawowego oraz zawodowego. Na razie jednak przepis prawny zawarty w art. 20 § 3 prawa rodzinnego, gdy chodzi o stosunki chłopskie, nazbyt często działa tylko w próżnię.

Ze sprawą stanowiska dziecka w rodzinie chłopskiej wiąże się ściśle sprawa opieki nad tym dzieckiem, innej niż rodzicielska.

Fenomenolodzy polskości

NA WARSZTACIE

Wychodzący w Paryżu emigracyjny kwartalnik literacki „Kultura” — Nr 2 — 3 skarży się w artykule wstępnym na przemilczanie przez nasze publikacje i czasopisma krytyczno-literackie potężnych osiągnięć naukowych i artystycznych emigracji.

Prasa „druku niewolnego”, „nadzorowanego” przez namiestnictwo Rosji — nie może dostrzec „wysokiego światła”, jakie podniosło się na wygnaniu by „oświecać również i drogę w Polsce”.

Jak dotąd — stwierdza artykuł — ukazała się w kraju jedynie rozprawa Jana Hulewicz w zeszytach 7 — 8 „Twórczości” — „niekompletna i skrojona ad usum regimu”, „pisarzy emigracyjnych przedrukowuje się jedynie w camera obscura i w rubrykach „z krajiny belkotu”.

Czytającego te słowa mocno przejął ów krzywdzący i zabójczy dla „kultury” stan rzeczy, by więc błąd choć w części naprawić podaje ad usum studionis, szereg cennych wyjątków ze zjawiskowej rozprawy o Sienkiewicz, Żeromski, Prusie i Reymoncie łącznie, drukowanej na honorowym miejscu powyższego kwartalnika. Już sam tytuł „Fenomenolodzy polskości”, ze wstępnym przypisem: „niezbyt dla mnie pojęty, niewątpliwie zawiera subtelne i głębokie treści naukowe, świadczy jak bardzo zostaliśmy w tyle pod względem wiedzy krytycznej i umiejętności analitycznych za fenomenalnie zdolną emigracją.

Autor rozprawy — Karol Ign. Hołubdzki, za pomocą instrumentów krytycznych, będących zastrzeżoną tajemnicą emigracji, wydobywa rzeczy zgoła jeszcze przez naszych badaczy niedostrzeżone.

Czterej omawiani pisarze to — jak się okazuje — zjawiska literackie i historyczno-społeczne — identyczne, zawartość problemowa i jakość oddziaływania społecznego utworów — prawie identyczna (głębsze różnice występują jedynie, co jest dla Hołubdzkiego nie bez znaczenia, w dziedzinie temperamentów pisarzy. Wykazuje to autor za pomocą precyzyjnej i niepodlegającej dyskusji metody nieboszczyka Hippokratesa). Przyczyna tej identyczności jest dla krytyka jasna, tkwi ona w **wiecznie tej samej statycznej naturze polskiej**, która determinowała działalność literacką każdego z czterech wielkich pisarzy.

„Jest coś rozrzucającego — pisze Hołubdzki — w myśli na przykład o antagonizmie pomiędzy Sienkiewiczem i Żeromskim, o tym, że nazwiska ich wytyczyły linie podziału w społeczeństwie, że kłócono się o nich tak żarliwie na zebraniach, w gazetach, na wieczorkach i poważnych czerclach. I o coż to się kłócić? Toć **bracia rodzeni**. Tylko, jeden sangwinik i flegmatyk (mieszanina, która Sienkiewiczowi bardzo wyszła na dobre) drugi melancholik. Ale znajdują się zawsze; zbierają się z przyrodniczym prawie determinizmem w punktach węzłowych natury polskiej”.

Solidaryzując się najzupełniej z dowodem autora, myślę, że byłoby nie od rzeczy wprowadzić wniosek uzupełniający, iż wskutek działania tego samego czynnika nie ma, i nie może być, żadnych różnic w całej literaturze polskiej w jej historycznym przebiegu od św. Wojciecha, świętobliwego autora „Bogorodzicy” do — przypuszczam — dnia Sądu Ostatecznego.

Mistrzowska analiza formalna „Trylogii” przynosi nowe rewelacje. Okazuje się, że wielki pisarz był genialnym fizykiem i to na skalę ery atomowej, gdyż poczynił szereg wynalazków z pogranicza fizyki i literatury:

1) strzelające zdania:

Czytamy: (cechuje go) „pewność rzutu malarskiego, faktura krótkich zdań, z których wystrzeża cud życia”.

2) Autor „Trylogii” był w posiadaniu takiej umiejętności przeciągania linii, by otrzymać tęga wibrację:

„Umiejętność chwywania rzeczywistości z paru stron naraz i to takich właśnie stron, że przeciągnięte linie dają w przecięciu najcięższą wibrację artystyczną”.

3) Wynalazł sposób przemiany stylu w potężną energię elektryczną (racjonalne wyzyskanie tego wynalazku miałooby bez wątpienia kolosalne znaczenie dla naszego młodego życia gospodarczego):

„Sekret zestrojowy pokazał nam Sienkiewicz w błyskawicach swego stylu, który — dzięki tej innowacji — „wytrzymać obciążenia sztucznej archaizacji”.

4) Wielkie osiągnięcia na polu akustyki zbiorowej: „Każda scena, postać, sytuacja uświetniła wielkość akustyki zbiorowej”. Uczony krytyk stwierdziwszy jeszcze, że wszystkie postacie, z wyjątkiem fałstafowskiego Zagłoby, są również „arcy — fenomenami” polskości — przechodzi do Żeromskiego, ponieważ jednak jest człowiekiem postępowym, nie solidaryzuje się, a owszem z oburzeniem piętnuje „współczesne” zdania o niemoralności autora „Dziwów Grzechu”.

Nie zgadzamy się taki osąd autora z jego godnością, ponieważ wielki społecznik jest osobą duchowną, co prawda nieco pogańską.

„Był on mimowolnym, na pewno nieraz tragicznie zbuntowanym przeciw swemu bóstwu kapłanem: „ROZKOSZY KŁĘSKI” (Pisze to imię zgodnie z intencjami autora który stosuje w swej rozprawie z namaszczeniem biblijnym cztery rozmiary czcionek największymi literami). U bogini tej niedoceniony przez współczesnych pisarzy nauczył się umietyności, sądząc po jej imieniu, dość niezwykłych — gdyż współczesnej strategii — operowania na tyłach wojsk nieprzyjacielskich samolotami:

„W dziełach były istotnie duże możliwości przerzutu”. Z Prusem parą się fenomenalny uczony dość krótko, jednak w sposób przecinający mieczem gordyjskim zbędne dyskusje na ten temat w „Kuźnicy”.

„Prus był oddzielony grubym pierścieniem izolacji od „toczącego” się życia, a obawa przestrzeni jeszcze tę izolację pogłębiła”. Zato Reymonta, cenę Hołubdzki najbardziej — radykał społeczny, ponieważ „mimo banatu stylowego i miejsc puszczonych”, był nie tylko najbardziej marksistowski z naszych pisarzy, lecz wniósł się ponad marksizm to dlatego, że „wierzył w siłę człowieka i zbiorowości ludzkiej”.

Kończąc omawianie dla braku miejsca jednej tylko pozycji tego wyrównanego i przodującego w ogólnopolskim życiu naukowo-literackim pisma czuję się jedynie w obowiązku uzupełnić autora, który ze zrozumiałych względów ograniczył listę nazwisk, podciągających pod swój zaszczytny termin naukowy, do czterech. „Arcy — fenomenologami polskości” są również, jak widać niezbicie z kart kwartalnika „Kultura”, wszyscy jej współpracownicy z niezrównanym znawcą ziołowego wieku powieści polskiej na czele.

Diogenes Chryścielewski

List do Redakcji

W sprawie socjologii „pekinu”

Do Obywatela Redaktora

Tygodnika Społeczno — Literackiego „Wies”

W związku z artykułem Ob. Jerzego Falenciaka w numerze 48, 1947 r. „Wsi” pt. „Moje pokolenie” mam zaszczyt prosić o zamieszczenie moich kilku uwag, które będą niejako uzupełniały ten artykuł.

1) Dr Falenciak dowodzi, że postać „Teofila Piecyka” już dosyć dawno oderwała się od tego, co on nazywa „pekinem”. Otóż zdanie takie nie wydaje mi się trafnym, ponieważ „pekin” to nie tylko siedlisko miejskiego proletariatu lecz też skupisko „drobnomieszczańskie” dołowny odwranej od robotników.

2) „Szwagrowie Piekutoszczaki” i ci w rodzaju „Walerego Wątróbki” zamieszkali i zamieszkują przede wszystkim przedmieście Warszawy. Ale dużo mieszka także i w śródmieściu, nieraz zajmując pięciopokojowe lokale per fas et nefas, może na ul. Widok gdzieś pod 5-tym numerem. Wydaje mi się, że i oni oderwali się od robotników, jeżeli w ogóle byli kiedykolwiek robotnikami.

3) Zrównanie „pana Krówki” z „Teosiem Piecykiem” jest nieścisłe i nie właściwe. „Pan Krówka” jest na pewno warszawskim drobnomieszczańskim najdrobniejszego kalibru. Jego ewolucja szła po drodze: wieś — „pekin” — sklepik lub warsztat rzemieślniczy w suterenie. — Nie wiem jakie są sugestie wewnętrzne i emocje społeczne Ob. Falenciaka przy czytaniu felietonów Wiecha. Ja „D. Piecyka” widzę zupełnie inaczej niż

„p. Krówkę” dla mnie „T. Piecyk”, uosabia niejednokrotnie jakiegoś Zagłobę czy Falstaffa z warszawskiego „pekinu” zubożałego szlachcica, który w toku społecznej demokracji ludności miast polskich zatracił swe dawne cechy przynależności do warstwy szlacheckiej, z której pochodził i stał się drobnomieszczańskim (tzw. drobnomieszczaństwo nabyte). Parafrazując wyrażenie Autora artykułu skłaniam się raczej do przekonania, że „Pan Piecyk”, to raczej zawsze „dołowna szlachcka” niż „dołowna drobnomieszczańska”.

Raczej przyjąć Szanowny Redaktorze wyrazy mojego szczerzego uznania i poważania.

Adw. Tadeusz Majewski

W związku z zapowiedzią Ob. Prezydenta R. P. wzmożonej i planowanej akcji wydawniczej w roku 1948 oraz po przeprowadzeniu rozmów z odpowiednimi instytucjami państwowymi mającymi wpływ na politykę wydawniczą Red. tyg. „Wies” zwróciła się do pisarzy z prośbą o udzielenie odpowiedzi na następujące pytania:

1) Jakież dzieła (utwory) posiada Kolega w rękopisach gotowe do druku (drukowane częściowo w pismach, niedrukowane w ogóle)?

2) W jakim terminie mógłby Kolega nadesłać nam powyższe utwory?

3) Co w tej chwili posiada Kolega na warsztacie pracy: a) proza, b) poezja, c) prace naukowe, d) prace publicystyczne (dokładnie tytuł, zakres, ogólnie orientację treściową, przewidywana objętość — tomy, strony) oraz co planuje napisać w roku 1948?

4) W jakim terminie Kolega przewiduje ukończenie każdej z wyżej wymienionych prac — w jakiej kolejności i w jakim terminie mógłby Kolega nadesłać te prace do redakcji?

Plon pisarski sygnalizowany w pierwszych spośród nadesłanych odpowiedzi jest dosyć spory i zaprzecza białaniom wydawców o nikłej podaży utworów do druku, nie mówiąc o ciekawych zamierzeniach na przyszłość.

WŁADYSŁAW DUNAROWSKI

Na pismo Pana Redaktora odpowiadam w kolejności postawionych pytań:

1. W r. 1947 ukazały się drukiem cztery moje prace: „Ludzie spod miedzy” wydanie II — tomik nowel; „Zachodni wiatr” — obraz sceniczny; „Dni oczekiwania” — obraz ostatnio w Wyd. E. Kuthana „Leżąc krzyżem” — powieść napisana podczas okupacji.

Do druku mam gotowy tom opowiadań zatytułowany „Ostatni zakręt”. Są to opowiadania z życia wsi, stojące niejako u progu wielkich przemian powojennych. Niektóre z tych opowiadań były drukowane w „Arkonie”, „Odrze”, „Kuźnicy” oraz „Wsi” („Ofiarowanie”).

2. „Ostatni zakręt” mógłbym przesłać w ostatnich dniach stycznia 48 r. (Objętość ok. 250 stron maszynopisu).

Wobec powyższego przerywam pertraktację z jednym z moich dotychczasowych wydawców — do czasu oceny pracy przez Waszą Komisję Kwalifikacyjną.

3. W tej chwili kończę utwór sceniczny dla Wyd. „Nauka” w Bydgoszczy. Niezależnie od tego zbieram materiał i robię przygotowania do większej powieści, której tytuł prawdopodobnie brzmieć będzie: „Życie się zaczyna”. Akcja powieści rozgrywać się będzie częściowo na starych ziemiach Polski centralnej już w okresie powojennym, częściowo wśród osadników rolnych i robotników fabrycznych Dolnego Śląska, Ziemi Lubuskiej, Pomorza Zachodniego i Wybrzeża. W powieści tej chciałbym uwzględnić możliwie wszystkie osiągnięcia gospodarcze, jak i kulturalne wsi współczesnej, a zwłaszcza człowieka, idącego po drodze awansu społecznego. Człowieka, któremu warunki polityczne pozwoliły zdobywać pełnię życia usuwając cień egzystencji „Ludzi spod miedzy” i „Leżących krzyżem” przed swą tragiczną dolą. Całość planuję w jednym tomie.

4. Ukończenie tej pracy przewiduję na jesień 48 r. Zresztą będzie to zależało od tego, czy uzyskam urlop na okres tej pracy.

PAWEŁ KUBISZ

Umowę na wydanie przekładu chińskiej powieści Franciszka Krzeliny p. t. „Pekiniści kościół” (czeskosłowacka państwowa nagroda literacka w roku 1937) podpisałem w Warszawie w dniach 4—6 stycznia 1948 r. Wydawca zobowiązał się już, że polski przekład „Pekiniści kościół” ukaże się w pierwszych miesiącach 1948 roku.

Nowy tomik poezji p. t. „Czas milczenia” zostanie wydany przypuszczalnie już z końcem marca 1948 roku w nakładzie SLA Polskiego Związku Kulturalno — Oświatowego w Czeskim Cieszynie.

Przypuszczalnie w marcu 1948 r. przystąpię do sporządzenia przekładu drugiej powieści Franciszka Krzeliny p. t. „Chude lata”. Powieść ta wydana po raz pierwszy w roku 1936 (nagrodzona na konkursie literackim nagrodą Szvehli) jest najpoczytniejszą książką tego autora — dotąd wyszły w Czechach 8 wydań tej powieści. Tematyka tej powieści to tragedia bezrobocia (lata 1932—4) w przemyśle na pograniczu czesko-niemieckim gdzie pracują czescy małorolni chłopcy. Oryginał zawiera 230 stron druku (strona = 32 wiersze a plus-minus 43 znaki pisarskie). Spodziewam się, że i ta powieść Krzeliny — bez większych „zachodów” — znajdzie i w Polsce swego wydawcę, tym bardziej, że przekład pojawił się już nawet w Holandii. Jeśli idzie o plan wydawniczy „Wsi” na rok

1948 — to od siebie mogę zaproponować do wydania:

„Legendę Wydziedziczonych”, dwuaktowy dramat wierszem (33 strony maszynopisu bez interlinii, utwór znany redakcji „Wsi” przed poczynieniem ostatecznych, drobnych poprawek!) Stawiam jednakże pewien warunek: zobowiązania się do przedkierowania wydania i do wypłacenia 15 proc. honorarium. Ostatnio odrzuciłem ofertę prywatnego wydawcy, który chce wydać „Legendę” w nakładzie 3.000 egz. stawiając honorarium autorskie zaledwie na 10 proc.

Dalej mogę zaofiarować do planu wydawniczego „Wsi” trzecie wydanie „Przednówka” powiększone o dwa dalsze utwory. Jak wiadomo 2 wydanie „Przednówka” choć tak niefortunnie kolportowane przez O. W. ZZLP jest już wyczerpane.

Takie są moje zamierzenia wydawnicze jeśli chodzi o pierwsze półrocze 1948 r.

MARIANNA KOŚCIŃSKA

Mam przygotowaną do druku powieść p. t. „Wychowawcy”. Powieść mówi o losach wiejskiej dziewczyny, która idzie na służbę do miasta; całość jest zabarwiona społecznie przez równocześnie odzwierciedlenie obyczajów i stosunków wiejskich, małopolskich i wielkich. Powieść ta będzie obejmowała w przybliżeniu 240 stron książkowego druku. Ponieważ ukończyłam jej opracowanie z końcem października br. oddałam ją do oceny prof. Pigińskiemu, gdzie się obecnie znajduje. W połowie stycznia mam ją odebrać z powrotem. O ile nie musiałabym powodować się oceną prof. Pigińskiego o której nie wiem jeszcze jak wypadnie, mogłabym odesłać rękopis do „Wsi” zaraz po jego odebraniu.

Oprócz powieści mam w tej chwili w opracowaniu cztery nowe o tematyce wiejskiej, obyczajowej. Piątą nowelę pt. „Podgrodzki matac” drukowała w części „Wies”. Tytuły opracowywanych obecnie nowel nie są jeszcze ustalone. Wszystkie cztery nowele będą gotowe za 3—4 miesiące. Nowele te łącznie z „Podgrodzkim matacem” będą obejmowały 180 stron druku książkowego. Jako wiejska obyczajowa o zabarwieniu społecznym całość nadawałyby się bardzo do książkowego wydania.

STANISŁAW GĘBALA

W odpowiedzi na Wasz list i na załączone w nim pytania odpowiadam:

1) Powieść reportażowa p. t. „Brzegiem Sanu” (podtytuł „Ośrodek Dzierżanowo”) powieść o zwycięstwach i klęskach, rozwoju myśli państwowej, antagonizmie dwu groźb, konflikcie na tle nierównomiernego obciążenia tych gromad przez reformę rolną. W tym fragmencie małej „wojny domowej” trwającej aż do dnia ogłoszenia ogólnej amnestii i przez tę zakończoną w nieoczekiwanym sposób.

Konflikt między dwoma wrogimi obozami rozwijają młodzi.

2) Pracę tę mam zamiar ukończyć do 20.II. 1948 roku.

3) a) „Brzegiem Sanu”, b) artykuły polemiczne na temat „miasteczko polskie w roku 1947”, w których chcę wykazać, że tzw. antagonizm „Wies-miasto” jest właściwie zawiścią wsi do miasteczka, gdzie dostosować można słowa „staropolska gościnność, młodopolska lekkomyślność i obwiepolskie sympatie” plus karykaturalne naśladownictwo zmierzającej już szlachetczyzny. Artykuły na ten temat staram się opublikować w „Odrodzeniu” w „Miesięczniku Ludowym” i ewentualnie we „Wsi”.

Planuję stworzenie dramatu dla młodzieży projektowanego jako widowisko pod gołym niebem. Widowisko tego rodzaju jest po prostu potrzebne.

4. Artykuły publicystyczne prześlę na każde żądanie, widowisko będzie gotowe na dzień 1 marca.

KLEMENS OLEKSIK

Cieszę się bardzo, że ruchliwa Redakcja „Wsi” wszczęła inicjatywę, która umożliwi młodym pisarzom spełnienie ich gorących marzeń: ujrzenia swoich prac na półkach księgarskich. Nie chcę być obłudnym i sam przyznaję się do tego rodzaju marzeń, gdyż awans taki pozwala mi na wybranie właściwej drogi pisarskiej. Oczekiwanie na debiut w Oddziale Wiejskim przeciąga się i kto wie czy doczekam się jeszcze w tym roku swojej kolejki.

1. Posiadam dwie powieści gotowe do druku: „Spalone mosty” i „Zbrodnia Pawła Zadury”. Obie drukowane były w odcinkach gazetowych. Po małej korekcie, którą teraz przeprowadzam, mogę je wysłać po 2 tygodniach.

2. Tomik wierszy.

3. Pracuję nad powieścią pt. „Powołanie Daniela”. Jest to życiorys chłopca ze wsi z rodziny wyrobniczej, pragnie się kształcić. Normalna nauka jest niedostępna z braku środków (rzecz sprzed 1939 roku). Przez pobyt w klasztorze, ciężkie lata w Warszawie, udaje mu się ukończyć gimnazjum. Pierwszą część (powieść zamierzona jest w dwóch częściach) skończy prawdopodobnie w lutym, jeśli praca zarobkowa nie pochłonie mi wiele czasu. Objętość pierwszego tomu (Powołanie Daniela) przewiduję na 300 stron.

Rozpocząłem także powieść z życia osadników: trzy rozdziały skończone. Prawdopodobnie będzie miała tytuł: „W Jastrowiu mówią o wojnie”. O tej pracy nie wiele jeszcze mogę powiedzieć.

Redaktor naczelny — Jan Aleksander Król.
Redaguje Komitet.
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.
Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.
Ceny ogłoszeń: kolumna 60.000 zł; 1/2 kolumny 30.000 zł;
1/4 kolumny 15.000 zł; 1/8 kolumny 5.000 zł.
Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-98.
Warunki prenumeraty: miesięcznie 40.— zł, kwartalnie 120.— zł, półrocznie 240.— zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto
P K O Łódź VII — 1080.
Odbito w drukarni Sp. Wyd. „Czytelnik” Nr 4 — Łódź, żwirki 2. D—018382